

ALFRED HITCHCOCK

TAJEMNICA SZLAKU GROZY

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożył: JAN JACKOWICZ)

Wstęp Alfreda Hitchcocka

Z prawdziwą przyjemnością pragnę przedstawić Wam moich młodych przyjaciół - Trzech Detektywów. Jeśli już wcześniej zetknęliście się z prowadzonymi przez nich niezwykłymi śledztwami, przejdźcie od razu do lektury pierwszego rozdziału. Jeśli nie, pozwólcie mi wystąpić w roli rzecznika ich detektywistycznych talentów.

Zacznijmy od szefa grupy, którym jest Jupiter Jones. Przewyższa on bystrością umysłu przeciętnych chłopców w swoim wieku, przeczytał też więcej książek i zapamiętał więcej różnych rzeczy niż większość znanych mi dorosłych osób. Dzięki analitycznym zdolnościom potrafi z paru zaledwie faktów wysnuć zdumiewające konkluzje.

Fizycznie najbardziej z całej trójki rozwinięty jest Pete Crenshaw, który odznacza się też wesołym usposobieniem, lojalnością i niefrasobliwością. Podejrzewa on, że Jupiterowi przychodzą czasami do głowy pomysły wyczynów i akcji, które są trochę zbyt niebezpieczne. Jest bardzo prawdopodobne, że Pete nie jest jedyną osobą, która podziela takie przekonanie...

Bob Andrews jest spokojnym i być może nie tak błyskotliwym chłopcem. Prowadzi dokumentację i badania dla potrzeb całej grupy. Nie oznacza to, że siedzi przez cały czas przy biurku, nie biorąc udziału w ryzykownych wyczynach kolegów. Jest tak samo odważny i śmiały, jak obaj jego przyjaciele.

A co do mojej osoby, to byłem kiedyś prywatnym detektywem, ale wycofałem się z tej działalności i zacząłem pisać książki i kręcić filmy poświęcone różnym zagadkom i tajemnicom. Trzech Detektywów poznałem dzięki pewnemu żebrakowi, który miał twarz poraną bliznami, ale to jest całkiem inna historia. Wspomnę więc tylko o tym, że kiedy dowiaduję się o jakiejś tajemnicy, którą trzeba rozwiązać, natychmiast podrzucam ją moim przyjaciołom, a potem opatruję ich własne relacje krótkim wstępem.

Na ślad niniejszej tajemnicy chłopcy wpadli jednak bez mojej pomocy. Aby ją rozwiązać, opuścili własne domy w Rocky Beach w Kalifornii i wybrali się w długą wakacyjną podróż przez całe Stany Zjednoczone. Ale zamiast cieszyć się beztruskim wypoczynkiem, musieli uciekać przed nieuchwytnymi, czającymi się wokół nich groźbami.

Jesteście ciekawi ich nowych przygód? Któż by nie był! A zatem, odwracamy pierwszą stronicę!

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Chodzące nieszczęście

Kuchenne drzwi otworzyły się gwałtownie i w chwilę potem zatrzasnęły z hukiem. Z wypiekami na policzkach i groźnie zaciśniętymi ustami wpadła do środka pani Crenshaw.

- Zamorduję tego starego dziwaka! - oznajmiła nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Toć to prawdziwe chodzące nieszczęście! Zastrzelę go i żaden sąd nic mi nie zrobi - dodała obrzucając wściekłym spojrzeniem swego syna, Pete'a, a potem także obu jego przyjaciół - Jupitera Jonesa i Boba Andrews. - Przemoknięte do suchej nitki! Wszystkie członkinie Niewieściego Bractwa. Spotkałam właśnie na rynku panią Harrison, która powiedziała mi, że wszystkie, co do jednej, wyglądały jak zmokłe kury!

- Oho - mruknął Pete. - To znowu dziadek!

- A któż by inny? - spytała jego mama. - Wiecie, co on znalazł tym razem? W dobroci serca ofiarował kościelnej sali zebrań wodną instalację przeciwpożarową, po czym osobiście ją zainstalował, montując super-wrażliwy, reagujący na dym czujnik, uruchamiający całe urządzenie w razie pożaru. Oczywiście, własnej konstrukcji. No i wczoraj, kiedy panie oglądały pokaz mody, do środka wszedł pastor i był na tyle nieostrożny, że zapalił papierosa!

Pete próbował zdusić wybuch śmiechu, nie dał jednak rady.

- To wcale nie jest zabawne! - rzuciła pani Crenshaw. Zaraz potem i ona musiała się jednak

poddać. Kąciki jej ust uniosły się i na twarzy pojawił się uśmiech. Chłopcy zaczęli chichotać i w chwilę później wszyscy, łącznie z panią Crenshaw, zanieśli się głośnym śmiechem.

- Chciał pewno zapisać się jako obrońca czystego powietrza - stwierdziła pani Crenshaw wycierając oczy, a potem usiadła przy kuchennym stole, chłopcy zaś wrócili do zajadania ciasteczek.

- Mój ojciec różnił się od innych ludzi, nawet kiedy był jeszcze przed emeryturą - powiedziała pani Crenshaw. - Pewnego razu zbudował dom, którego dach składał się jak w kabriolecie. Czyste wariactwo! Nie dałoby się mieszkać w czymś takim. Do środka ciągle lała się woda!

- Pan Peck rzeczywiście miewa oryginalne pomysły - odezwał się Jupe.

Pani Crenshaw skrzywiła się.

- Ten wczorajszy poranny pokaz mody musiał być zaiste nadzwyczaj oryginalnym wydarzeniem.

- Och, daj spokój, mamó - powiedział Pete. - Dziadek na pewno w końcu wyrówna wszystkie szkody. Jak zwykle zresztą.

- Dlatego właśnie nigdy nie staliśmy się bogaci - odparła pani Crenshaw. - Te jego pomysły wpakują go pewnego dnia prościutko do więzienia. Nie wszystko da się załatwić pieniędzmi.

To była prawda. Nie tak dawno temu brygada z Wydziału Parków w Rocky Beach próbowała usunąć schorowany wiąz, rosnący przed domem pana Pecka. Zdecydowany bronić swej własności starszy pan wyszedł do nich, wymachując kijem od baseballa i zmusił całą trójkę do zrejterowania w kierunku ciężarówki, którą przyjechali. Szef policji Reynolds przysłał dwóch swoich podwładnych, aby spróbowali przemówić mu do rozsądku. Kiedy i to się nie udało, zabrali go w kajdankach do aresztu. Pani Crenshaw musiała złożyć za niego poręczenie majątkowe, a potem długo nalegała, aby wynajął adwokata. Oskarżenie zostało ostatecznie zakwalifikowane nie jako czynna napaść z bronią w rękę, lecz jako chuligańskie zachowanie, toteż pan Peck zapłacił tylko grzywnę i wysłuchał upomnienia. Trzej robotnicy woleli nie ryzykować i nie zjawili się powtórnie, aby usunąć drzewo. Zostało ono na miejscu jako żywy pomnik upamiętniający zdeterminowanie pana Pecka i jego skłonność do gniewnych wybuchów,

- A teraz ma zamiar jechać do Nowego Jorku - powiedziała pani Crenshaw.

Wiadomość ta zdumiała Pete'a.

- Aby tam zamieszkać? - zapytał. - Ejże, chyba nie ma zamiaru wynieść się stąd?

- Nie. Zrobił tylko jakiś wynalazek, tak doniosły, że nie chce nawet rozmawiać na jego temat. Ma zamiar przedstawić go właściwym ludziom, którzy najwyraźniej znajdują się w Nowym Jorku. Twierdzi, że nie może załatwić tego przez telefon ani za pośrednictwem poczty. Musi udać się tam osobiście.

- No dobra - powiedział Pete. - I co w tym złego?

- Przypuśćmy, że ci ludzie nie będą chcieli z nim rozmawiać. Założmy, że każą mu wrócić do domu i napisać list. Będzie chciał wdrzeć się tam siłą!

- Chyba przesadzasz, mamusiu.

- Nie, nie przesadzam. Znam mojego ojca. On nie uznaje odmownych odpowiedzi. A jeżeli ludziom, z którymi ma zamiar rozmawiać, nie spodoba się jego pomysł, straci panowanie nad sobą i oświadczy im, że są niedorozwiniętymi kretynami.

- Mamo, naprawdę...?

- Wierz mi, znam go dobrze! - stwierdziła stanowczo pani Crenshaw. - Zacznie im grozić, aż w końcu zadzwonią po gliny. Będzie tak jak wtedy, gdy na tyle ulepszył słoneczny podgrzewacz do wody, że w końcu zaczęła się w nim gotować. Albo jak w przypadku nowego nawilżacza powietrza...

- Przecież on działał! - przerwał Pete.

- Tak, rzeczywiście działał. Tyle że ktoś wynalazł go już wcześniej, jeszcze zanim mój tatuś wpadł na pomysł skonstruowania takiego urządzenia, a potem przysięgał, że mu ukradli jego wynalazek. Mógłbyś mi wytłumaczyć, w jaki sposób facet, który mieszka w Dubuque w stanie Iowa, mógł świsnąć ten pomysł facetowi z Rocky Beach w Kalifornii? Byłabym ci za to wdzięczna!

Pete nie odpowiedział.

Jupiter i Bob wymienili kpiące spojrzenia.

- Ale oprócz pobytu w Nowym Jorku, gdzie z pewnością wpadnie w jakieś tarapaty, mój tata ma do przebycia całą tę drogę - powiedziała pani Crenshaw.

- Mamo, przecież dziadek latał już przedtem samolotami. Zawieziemy go na lotnisko i...

- Postanowił jechać samochodem - odparła pani Crenshaw. - Chce w ten sposób pokonać całutki dystans, przez całą szerokość kraju. Wybiera się przez Montanę. Twierdzi, że nigdy jej nie widział, nie był też w Oregonie ani w stanie Waszyngton, i nie zamierza pominąć żadnego z tych miejsc. Powiada też, że niektóre z najlepszych pomysłów przyszły mu do głowy, kiedy siedział za kierownicą. W tym kryje się może wyjaśnienie zagadki, dlaczego tak często dostawał mandaty za przekroczenie szybkości.

Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeżeli jesteś tak bardzo tym wszystkim zaniepokojona, mamo, to dlaczego nie zabierzesz się z dziadkiem? My z tatą damy sobie radę, a tobie taka wycieczka mogłaby dostarczyć wiele przyjemności...

- To by nie było nic przyjemnego - stwierdziła pani Crenshaw. - Przynajmniej dla mnie. Nie z twoim dziadkiem takie rzeczy. Wiesz przecież, że nie możemy spędzić razem dziesięciu sekund, żeby się nie pokłócić. Ale jeżeli uważasz, że podróż z nim przez cały kontynent byłaby taką frajdą, to

możesz sam pojechać. Oczy Pete'a rozbliły.

- Mówisz serio? Rany Julek, to by była bomba!

- Jesteś tego pewien? - spytała powątpiewającym tonem jego matka. - Byłbyś w stanie uchronić go od popadnięcia w jakieś kłopoty? Dopilnowałbyś, żeby nie rzucił się na kogoś z pięściami i nie wylądował w areszcie?

- Oczywiście, mam. To znaczy, będę się starał robić, co tylko się da, ale...

- Ale tak naprawdę wcale nie wierzysz w to, że ci się uda, prawda? - nie dawała za wygraną pani Crenshaw. - No cóż, on zawsze był taki...

Urwała nagle i wlepiła oczy w Jupitera. Krępy chłopak połykał właśnie z namaszczeniem czekoladowe ciastko. Ale mimo iż na pozór bezmyślnie poruszał ustami, jego oczy mówiły, że wypełnia go jakieś dziwne rozmarzenie. Ich wyraz nie zmylił pani Crenshaw. Wiedziała, że Jupe zwracał baczną uwagę na wszystko, co działo się wokół niego nawet wtedy, gdy wyglądał jak ktoś pogrążony w ospałym roztargnieniu. Pamiętała też, że Jupe ma prawie doskonałą pamięć. Gdyby poprosiła go o to, byłby prawdopodobnie w stanie odtworzyć co do jednego słowa całą rozmowę, którą dopiero co odbyła.

Czasami pani Crenshaw czuła się w obecności Jupe'a onieśmielona. Był tak spokojny i opanowany. W jego wieku mogło się to wydawać czymś nienaturalnym. Uświadomiła sobie, że patrzy na niego jak na kogoś, kto został jej zesłany w odpowiedzi na jej modły.

- Chciałabym zaangażować Trzech Detektywów - powiedziała nagle.

Trzej Detektywi, którym przewodził Jupe, stworzyli młodzieżową agencję detektywistyczną. Ich rodzice nie uważali wprawdzie, aby stanowiła ona coś więcej niż mały klub, w rzeczywistości jednak trzem chłopcom udało się już rozwiązać kilka poważnych tajemnic i zagadek.

- To jest idealne zadanie dla takiego amatorskiego zespołu detektywistycznego, jak wasz - ciągnęła pani Crenshaw. - Dowieziecie mego ojca bezpiecznie do Nowego Jorku, a ja już się postaram, żeby się wam to opłacało.

Jupiter uśmiechnął się, szczerząc zęby.

- To nie jest sprawa w rodzaju tych, jakich zwykle się podejmujemy - powiedział z naciskiem. - Jesteśmy detektywami, a nie osobistymi ochroniarzami.

- Moglibyście potraktować to jako wartościowe doświadczenie - powiedziała pani Crenshaw. - Nie pragniecie chyba zajmować się w kółko tymi samymi rzeczami? Moglibyście popaść w stagnację.

Jupe spojrzał na Boba i dostrzegł w jego oczach obiecujący błysk.

- Jestem za - powiedział Bob.

- Przypuszczam, że byłaby to dla nas niezła próba sił - stwierdził Jupe.

- Nawet się nie domyślasz, jaka - wtrącił Pete. - Kiedy dziadek wpada we wściekłość albo wchodzi na ścieżkę wojenną, jest zdolny do niewiarygodnych wyczynów.

- A teraz na pewno z kimś zadrze - powiedziała przewidująco mama Pete'a. - Jest przekonany, że ludzie tacy jak on, obdarzeni twórczymi zdolnościami, są często traktowani w sposób obraźliwy, i czuje się tym głęboko dotknięty. Tak więc gdyby się wam udało uchronić go od napadów szału i od napastowania osób, które wejdą mu w drogę, byłabym wam doznownie wdzięczna.

Ozwał się dzwonek telefonu.

- Mój Boże! - wykrzyknęła pani Crenshaw. - Nie wydaje mi się, abym miała ochotę na jakieś pogaduszki.

- Ja odbiorę, mamó. - Pete podniósł słuchawkę i powiedział "halo", a zaraz potem zapytał: - Jest pan tego pewien? - Przez chwilę słuchał swego rozmówcy, wreszcie odezwał się: - Proszę chwilę poczekać, dobrze? Przekażę to mamie.

Dzwoni pan Castro, przyjaciel dziadka z przeciwka - zwrócił się do pani Crenshaw. - Umówił się na dziś z dziadkiem na partię szachów, ale kiedy przyszedł do niego do domu, nie zastał w środku nikogo. Mówi, że drzwi do ogrodu były otwarte, a w kuchni ciekła woda z kranu nad zlewozmywakiem. Uważa, że powinniśmy wezwać policję.

- Policję? - odparła mama Pete'a. - To bez sensu. Dziadek wyszedł pewno po jakieś sprawunki i zaraz będzie z powrotem.

- Ależ, mamó, jego samochód stoi na podjeździe. Nie mógł przecież tak sobie wyjść, zostawiając otwarte drzwi. No i odkręcony kran.

- Och, masz rację, kochany. Pójdę tam.

W tym momencie do akcji wkroczył Jupiter.

- Pojedziemy tam zamiast pani - zaproponował. - Ma pani przecież zamiar wynająć Trzech Detektywów, a tu właśnie nadarza się nam okazja do wszczęcia dochodzenia. Niech pani zaczeka tutaj. Zadzwoimy do pani z domu pana Pecka.

Trzej chłopcy ochoczo pomknęli ku drzwiom zastanawiając się, w jakie to kłopoty wpadł tym razem dziadek Pete'a.

Rozdział 2

Spotkanie z wrogiem

Kiedy Trzej Detektywi podjechali na rowerach pod dom pana Pecka, czekał tam na nich pan Castro. Był to szczupły, energiczny mężczyzna o siwych włosach i opalanej, pomarszczonej twarzy. Niesamowicie podniecony, spacerował tam i z powrotem w promieniach wiosennego słońca.

- To całkiem nie w stylu twojego dziadka - powiedział do Pete'a. - Mieliśmy zamiar pograć w szachy i jestem pewien, że za żadne skarby nie zrezygnowałyby z tej partii. Ostatnim razem przegrał ze mną i teraz chce się odegrać. Twój dziadek nie lubi przegrywać.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości - przytaknął mu Pete.

Chłopcy weszli do środka frontowymi drzwiami, które nie były zamknięte. Pan Castro podążał za nimi z oznakami poważnego zaniepokojenia.

- Jestem pewien, że musiało się wydarzyć coś niedobrego - powiedział. - Twój dziadek nigdy nie wyszedłby z domu, zostawiając odkręcony kran i szeroko otwarte tylne wejście.

Trzej Detektywi stanęli w kuchni, gapiąc się na nieszczęsny kran tak, jakby oczekiwali od niego jakiegoś wyjaśnienia.

- Miał zamiar zagotować trochę wody - powiedział Jupiter. - Popatrzcie, koło zlewu stoi czajnik ze zdjętą pokrywką. Kiedy stał tu, koło zlewu, wyrztał przez okno, które znajduje się nad nim, i... i coś zobaczył.

Jupe także wyrztał przez okno zastanawiając się, co też pan Peck mógł zobaczyć. On sam dostrzegł teraz kawałek należącego do pana Pecka trawnika i równiutko przycięty, niski żywopłot oddzielający jego posiadłość od sąsiedniej posesji. Za żywopłotem znajdowało się zapuszczone, porośnięte chwastami podwórze. Stojący tam dom wyglądał na ruderę z poobdrapywaną farbą na okiennych framugach i pozrywanymi tu i ówdzie dachówkami.

- Kto tam mieszka? - zapytał Jupe pana Castra.

Odpowiedział mu jednak Pete.

- Jakiś facet o nazwisku Snabel. Ale dziadek na pewno tam nie poszedł. Oni się nienawidzą. Za każdym razem, kiedy się spotykają, wszczynają kłótnie.

- To możliwe - odparł Jupiter - ale całkiem niedawno ktoś przechodził przez żywopłot albo starał się go przeskoczyć. Widzisz, tam, te połamane gałązki? Drewno pod korą ciągle jest białe, co oznacza, że złamania są całkiem świeże.

Chłopcy wyszli na dwór i pomaszrowali przez podwórze do żywopłotu.

- Te krzewy są wystarczająco niskie, aby Peck mógł je przeskoczyć - stwierdził Jupiter. - Mógł w trakcie przełazenia na drugą stronę przypadkiem chwycić parę gałązek.

Pan Castro zaprotestował pomrukiem.

- Kiedy Ben Peck po raz ostatni poszedł na podwórze Eda Snabela, tamten groził mu, że go zastrzeli. Pani Milford z przeciwka wezwała policję i obaj oskarżyli się nawzajem. Ben zeznał, że Snabel zwędził mu kosiarkę do trawy, a Snabel stwierdził, że Ben próbował włamać się do jego garażu. Później obaj wycofali swoje skargi, ale przez jakiś czas sprawa wyglądała całkiem brzydko.

- Może więc byłoby rozsądnie przekonać pana Pecka, aby opuścił posesję pana Snabela - powiedział Jupe. - Zakładając oczywiście, że tam poszedł. A osobiście przypuszczam, że tak właśnie zrobił.

Łamiąc parę kolejnych gałązek, Jupe przeskoczył przez żywopłot, Pete i Bob poszli za jego przykładem. Pan Castro wahał się przez chwilę, w końcu i on znalazł się po drugiej stronie, po czym całą czwórką zaczęli obchodzić sfatygowane domostwo.

Nie musieli zapuszczać się zbyt daleko. Tuż za domem znajdował się garaż, a obok niego widać było niewielką szklarnię. Nie była ona tak zaniedbana jak duży dom. Drewniany szkielet biał się świeżą farbą, a szklane tafle tworzące ściany i dach lśniły czystością, choć pokrywała je od środka wodna mgiełka.

Nagle zza szklarni doszły ich dźwięki wesołej, złośliwej pioseneczki:

Choćby mi zmykał niczym gazeta

I tak przyłapię łotra Snabela!

- Och, nie do wiary! - krzyknął Pete. - To ty, dziadku?

- Co tam znowu?

Pan Bennington Peck ostrożnie wyjrzał zza rogu szklarni. Był to szczupły, żyłasty mężczyzna, trzymający się jak na swój wiek wyjątkowo prosto i krzepko. Był pewien słuszności swych zasad, toteż jego niebieskie oczy ciskały wesołe błyski.

- Pete, mój chłopcze! O, jest i Jupiter! I Bob! Chodźcie no tu wszyscy, zobaczcie, co znalazłem. Och, Castro, proszę cię o przebaczenie. Zdaje się, że się umawialiśmy na dziś, prawda? Przykro mi, naprawdę. Boję się, że naraziłem cię na czekanie.

- I to całkiem długie - powiedział pan Castro. - Chciałem już wezwać policję, ale zdaniem twojej rodziny byłby to krok trochę zbyt pochopny. Peck, do wszystkich diabłów, co ty tu robisz?

- Próbuję otworzyć drzwi do tej szklarni - odpowiedział pan Peck, wtykając do zamka ostrze scyzoryka.

- Tym razem prawo będzie po stronie Eda Snabela - ostrzegł go Castro.

- Dziadku, ale napędziłeś nam strachu - powiedział Pete.

Pan Peck wyglądał na skruszonego.

- Och, Pete, nie gniewaj się. Wcale nie miałem zamiaru tego robić. Ale podejź bliżej i zajrzyj przez tę szybę. Zobacz, co tam stoi!

- Dziadku, pan Snabel oskarży cię o wtargnięcie na jego teren i o włamanie.

- Bzdura! Niczego mu nie połamalem. Po prostu próbuję otworzyć drzwi tak, żebym mógł odzyskać to, co do mnie należy. Widzisz ten kanister? To jest środek owadobójczy, który kupiłem w zeszłym tygodniu u Harpera. Miałem zamiar skropić nim mój chiński wiąz, ale nagle kanister gdzieś zniknął. A tu jest kielnia, która też mi się zapodziała. Ma specjalny znak na trzonku. Jak widać, ten Snabel kradnie nie tylko kosiarki do trawy, ale potrafi też zwędzić takie rzeczy jak kielnia i środek na owady. Poza tym szpieguje mnie. Do czego on właściwie zamierza użyć tej kosiarki, skoro nigdy nie strzyże swoich trawników? Chciałbym wiedzieć! Chyba robi to przez zwykłą złośliwość. Założę się, że kiedy będzie się chwalił swoimi storczykami w jakimś kółku pomyleńców na punkcie tych kwiatków, nie wspomni nawet słowem o tym, że nie ma zwyczaju kupować ogrodniczych artykułów w sklepie!

Powiedziawszy to, pan Peck ze złością dźgnął scyzorykiem oporny zamek.

- Dziadku, skąd masz pewność, że te rzeczy należą do ciebie? - zapytał Pete.

- Na pierwszy rzut oka rozpoznam własną kielnię - upierał się pan Peck. - Zorientowałem się, że znikła i że brakuje też środka na owady. No i zobaczyłem połamane gałązki w żywopłocie. Nie jestem jeszcze tak stary, abym nie wiedział, ile jest dwa dodać dwa.

W tej właśnie chwili od strony podjazdu przed domem Snabela dał się słyszeć szum zatrzymanego się samochodu. Zza rogu garażu wyszedł mały i pękaty ciemnowłosy człowieczek. Jego głęboko osadzone pod gęstymi brwiami oczy rzucały wściekłe spojrzenia.

- Panie Snabel, znowu zakradł się pan do mojej szopki na narzędzia - stwierdził oskarżycielskim tonem dziadek Peck. - Proszę otworzyć tę cieplarnię i oddać mi moją kielnię i kanister ze środkiem owadobójczym!

- Jest pan starym zidiociałym awanturnikiem - odparł Snabel. - Powinni trzymać pana w zamknięciu. Proszę natychmiast opuścić moją posesję albo zadzwonię po policję. Ale tym razem nie wycofam oskarżenia!

Pan Peck energicznym ruchem zamknął swój scyzoryk. A potem pomachał nim w kierunku Snabela.

- Tym razem jeszcze ujdzie panu na sucho - oświadczył uroczyście - ale jeżeli przyłapię pana znowu na myszkowaniu po moim podwórku, załatwię się z panem osobiście, bez pomocy tej choleralnej policji!

- Proszę cię, dziadku - powiedział błagalnie Pete.

- Nie zawracaj mi głowy, chłopcze - odparł pan Peck. - Nie zniosę, aby mi ktoś mieszał szyki, nawet moja własna rodzina!

Rzekłszy to, pomaszerował sztywno przez podwórko. Trzej Detektywi ruszyli za nim. Pan Castro na chwiejących się z przejęcia nogach zamykał pochód.

- Czasami nie cierpię przychodzenia tutaj - postękiwał pan Castro.

- Czuję się tak, jakbym wchodził na teren, na którym toczy się wojna.

- Podła gadzina! - powiedział pan Peck, przelazłszy przez żywopłot, a potem wielkimi krokami skierował się do swego domu. - Powinniśmy zorganizować tu jakieś sąsiedzkie stowarzyszenie, tak jak to robią w niektórych spółdzielczych osiedlach. Moglibyśmy wtedy decydować za pomocą głosowania o tym, komu przyznawać prawo do kupowania domów i placów, a komu nie.

- Obawiam się, że godziłoby to w wolności konstytucyjne - -stwierdził pan Castro. - A poza tym, sąsiedzi mogliby zagłosować przeciwko tobie!

- Nie bądź śmieszny! - wykrzyknął pan Peck. - I przestań wreszcie marnować czas na próżne gadanie. Chcesz w końcu zagrać ze mną tę partyjkę czy nie?

Pan Castro wydał z siebie dźwięk przypominający bulgotanie zupy w kipiącym garnku, wszedł jednak do środka za swym przyjacielem. Pan Peck napełnił czajnik i postawił go na gazie, a potem skierował się wraz z panem Castrem do saloniku, gdzie czekała już na nich szachownica z ustawionymi do gry figurami.

Pete zobaczył stojący na kuchennej ladzie telefon. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer swego domu. Chciał poinformować mamę, że, przynajmniej na razie, wszystko idzie dobrze.

- Jak myślisz, czy udałoby się nam uchronić go od kłopotów, gdybyśmy pojechali z nim na tę wyprawę? - zapytał Jupitera przyciszonym głosem.

Jupiter popatrzył na Pete'a niepewnie, potem jednak rozjaśnił się i uśmiechnął szeroko.

- To nie byłoby łatwe - powiedział - ale z pewnością nie nudzilibyśmy się w drodze.

Jupiter nie docenił niebezpieczeństw wspólnej podróży z dziadkiem Peckiem. Ale też w żaden sposób nie mógł przewidzieć, że Trzej Detektywi mieli przed sobą jedną z najbardziej szalonych przygód, jakie zdarzyło się im przeżyć kiedykolwiek przedtem czy potem.

Rozdział 3

Przygoda się zaczyna

W tydzień po ogrodowej awanturze pani Crenshaw zaprosiła swego ojca na obiad. Na stole pojawiły się wszystkie ulubione dania pana Pecka, z niezwykle smakowitym czekoladowym tortem przybranym bitą śmietaną włącznie. Kiedy dziadek Peck i cała trójka Crenshawów byli już po deserze, pani Crenshaw podała kawę i niby to przypadkiem napomknęła, że dla Pete'a i jego przyjaciół taka samochodowa wycieczka od jednego oceanu do drugiego byłaby bardzo pouczająca. Sądziła, że jeśli tylko pan Peck zgodzi się zabrać ich na wyprawę do Nowego Jorku, uda się jej załatwić im wcześniejsze zwolnienie ze szkoły.

Pan Peck popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Och, tatusiu, nie rób takiej miny - powiedziała pani Crenshaw. - Pamiętasz wycieczkę, na którą wybraliśmy się, kiedy miałam dziesięć lat? Razem z tobą i z mamą pojechaliśmy wtedy obejrzeć słynne jaskinie w Nowym Meksyku. Pamiętam to do dzisiejszego dnia. Gdyby Pete mógł pojechać z tobą, byłoby to dla niego równie wielkim przeżyciem, jak tamta wycieczka dla mnie. A gdyby towarzyszyli mu Jupe i Bob, miałbyś go zupełnie z głowy. A że chłopcy są bardzo odpowiedzialni, nie musiałbyś wcale niepokoić się z ich powodu.

Pan Peck wymieszał kawę i badawczo przyjrzał się swej córce. Pani Crenshaw знаła to spojrzenie. Znaczyło ono: jak na dłoni widzę wszystkie twoje myśli.

Poczuła, że się czerwieni, i zabrała się do składania swej serwetki w nierówne, drobne fałdki.

- Uważasz, że potrzebuję anioła stróża - powiedział pan Peck. - Tak, chłopcy rzeczywiście mają poczucie odpowiedzialności. Byliby doskonałymi opiekunami.

- Ależ, tatusiu, nie chodzi mi wcale o to. Po prostu, ponieważ zamierzasz pokonać całą tę drogę autem, a... dzieciaki nieczęsto mają okazję pojeździć... no więc, wydaje mi się, byłoby wstyd...

- Marnować benzynę? - zapytał pan Peck, a potem odwrócił głowę w kierunku pana Crenshawa, który na wszelki wypadek nie odezwał się dotąd ani słowem. Pan Crenshaw nie lubił kłócić się ze swym teściem. Nie dlatego, aby źle wychodził na takiej wymianie poglądów, ale zwyczajnie z tej przyczyny, że ich sprzeczki nie kończyły się nigdy wyraźnym zwycięstwem którejś ze stron. Zamiast traktatu pokojowego finałem ich dyskusji było zwykle jedynie zawieszenie broni. I zawsze kryła się w nim zapowiedź kolejnej potyczki, którą nieuchronnie musieli stoczyć w parę dni później. Tej dyskusji pan Crenshaw nie mógł jednakże uniknąć.

- Ty także uważasz, że potrzebuję opiekuna? - zapytał swego zięcia pan Peck.

Pan Crenshaw wziął głęboki oddech i zdecydował się stawić czoło staruszkowi.

- Z pewnością nie przez cały czas - powiedział. - Ale gdybym pewnego dnia musiał rzucić wszystko i lecieć do Indiany albo Idaho, to, sam rozumiesz...

- Kto powiedział, że będziesz musiał lecieć do Indiany czy Idaho? - wrzasnął pan Peck. - Po jakie licho? Domyślam się, żeby wyciągnąć mnie z za kratki. Oboje twierdzicie przecież, że wszystkie sobotnie wieczory przez ostatnie czterdzieści lat spędzałem w areszcie. Pozwolę sobie

przypomnieć wam, że tak naprawdę aresztowali mnie tylko raz, a i to tylko dlatego, że nie chciałem pozwolić tym ignorantom z Wydziału Parków, aby zniszczyli moje drzewo. Od tamtej pory traktujecie mnie tak, jakbym był szaleńcem albo kryminalistą, lub kimś jeszcze gorszym. Powiem wam teraz, co o tym myślę...

Urwał i rzucił piorunujące spojrzenie Pete'owi, który siedział jak mysz pod miotłą, bojąc się głośniejsz odetchnąć.

- Myślę, że to jest wspaniały pomysł, aby chłopcy pojechali ze mną! - oznajmił. - Podróż jest długa i będę potrzebował kogoś, z kim mógłbym porozmawiać. Chłopcy nadają się do tego lepiej niż te podstarzałe typki jak Castro czy Henry Jacobson. Castro zabiera zwykle w podróż specjalną walizkę z lekami, które musi zażywać, a Jacobson poszedł na emeryturę, żeby uwolnić się wreszcie od spraw związanych z biznesem ubezpieczeniowym, ale teraz nie umie rozmawiać o niczym innym, tylko o ubezpieczeniach. Co za nuda! Tak więc jeżeli Pete i jego kumple załatwią sprawę ze swymi rodzicami i ze szkołą, będzie po prostu znakomicie. No bo rzeczywiście, do wakacji zostało tylko parę tygodni, odłożymy więc wyjazd do chwili, w której otrzymają już te błogosławieństwa. Jeżeli uda się wyjechać na początku czerwca, będziemy mogli przekroczyć wielkie równiny przed okresem najgorszych upałów, a z powrotem możemy przecież szurnać przez Kanadę. Pete, podoba ci się to?

Pete aż podskoczył na krześle.

- O rany! - wykrzyknął. - Jeszcze jak!

Nie zwlekając zerwał się na równe nogi i pobiegł do telefonu, aby zadzwonić do Boba i Jupitera.

Bob z łatwością przekonał rodziców, aby pozwolili mu jechać. Oboje pokładali wielką wiarę w dojrzałość Trzech Detektywów, zwłaszcza Jupitera, uważali też, że dla Boba będzie to wspaniała okazja do obejrzenia całego kraju. W ciągu kilku następnych dni Bob załatwił sobie też okresowy urlop z dorywczej pracy w bibliotece w Rocky Beach.

Jupe był sierotą mieszkającym wraz z ciotką Matyldą i wujem Tytusem Jonesami, właścicielami składu złomu. Ciotka Matylda i wuj Tytus prawie bez wahania zgodzili się na jego udział w wyprawie. Jupiter zwrócił ich uwagę na to, że podróż przez cały kontynent, i to w obie strony, byłaby przygodą, jaką przeżywa się tylko raz w życiu.

- Wielkie przeżycia kształtują charakter człowieka - oświadczył im pompatycznie - a ta podróż na pewno dostarczy wielkich przeżyć.

- Twój charakter jest już wystarczająco ukształtowany - powiedziała mu ciotka Matylda.

Mimo to przyniosła ze strychu śpiwór i rozłożyła go na trawniku, aby się przewietrzył.

Jupiter chodził za nią jak cień.

- Jesteś zdania, że nie mogę jechać? - spytał.

- Zastanawiam się, jaka też pogoda może być w czerwcu w Minnesocie - odpowiedziała wymijająco.

- Wspaniała! - wykrzyknął wuj Tytus.

Twarz Jupitera rozjaśniła się.

- Obiecuję, że jeszcze przed wyjazdem dokończę inwentaryzacji całego składu - powiedział.

- Bardzo bym chciał zabrać się z tobą na tę wycieczkę - oświadczył wuj Tytus z żalem w głosie. W młodzieńczych latach grał on w cyrku na małych, przenośnych organach i wciąż jeszcze nawiedzała go czasami tęsknota za podniecającym cyrkowym życiem i wędrówkami po całym kraju.

- Ktoś musi zostać w domu, aby pilnować interesów - stwierdziła z uśmiechem ciotka Matylda.

Aby dokończyć inwentaryzacji, Jupiter pracował przez wszystkie chłodne, wiosenne popołudnia i długie wieczory.

Czas płynął i wreszcie nadszedł ostatni dzień szkolnych zajęć. Chłopców opanowała nagle gorączka pakowania rzeczy i żegnania się z rodzinami. W mglisty, czerwcowy poranek pan Crenshaw wysadził ich wraz z walizkami na trawniku przed domem pana Pecka. Chłopcy nie wzięli ze sobą śpiworów, ponieważ dziadek Pete'a kategorycznie zaprotestował przeciwko propozycji, aby cała czwórka nocowała pod gołym niebem.

- Jestem za stary na to, aby udawać harcerzyka - oświadczył krótko. - W moim podeszłym wieku mogłaby to być ostatnia już wielka przygoda, a poza tym mam zamiar zachować pewien styl. Będziemy zatrzymywać się w hotelach i motelach i będziemy się troszczyć o to, żeby było wygodnie.

Chłopcy i ich bagaże zostali w końcu ulokowani w podstarzałym, ale mocnym buicku dziadka Pecka. Auto ruszyło. Przed zakrętem Pete obejrzał się jeszcze, aby pomachać swemu ojcu. Jupe zrobił to samo. Obaj chłopcy dostrzegli przysadzistą postać na poły ukrytą w krzakach rosnących za domem dziadka.

Był to Edgar Snabel, przyglądający się odjazdowi.

- Nie traci czasu, zaraz będzie myszkował po dziadkowej posesji - mruknął Pete.

- Pete, co powiedziałeś? - zawołał dziadek z przedniego siedzenia.

- Nic takiego, dziadku - odparł prędko Pete. - Zastanawiałem się właśnie, czy nie moglibyśmy zatrzymać się, żeby coś zjeść, w tym świetnym zajeździe w Santa Barbara. Wiesz, tam, gdzie stoliki stoją na dziedzińcu.

- Załatwione - powiedział dziadek Peck. - Ja też czuję się już głodny. To zabawne, jak prędko znika gdzieś śniadanie, kiedy zjada się je za wcześnie. Czy ja coś jadłem dziś rano? Nie mogę sobie przypomnieć.

Wjeżdżając na autostradę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, pan Peck był we wspaniałym nastroju. Jupiter siedział uśmiechnięty. Pierwsze małe wyzwanie było już za nimi. A zresztą cała wycieczka mogła przecież przebiec w takiej pogodnej atmosferze.

W głębi duszy Jupiter nie wierzył jednak w taką możliwość. Zbyt dobrze znał upartego, skłonnego do wpadania w rozdrażnienie pana Pecka. z kimś takim za kierownicą mogło się zdarzyć dosłownie wszystko, bez żadnych wyjątków.

Rozdział 4

Człowiek we mgle

Drugie śniadanie w Santa Barbara było prawdziwą ucztą. Trzej Detektywi i dziadek Peck zjedli je na dziedzińcu zajazdu, zbudowanego jeszcze w czasach, gdy Kalifornia była hiszpańską kolonią. Słońce zdążyło już przegnać mgły, toteż powietrze było przejrzyste i świeże.

- Wspaniały początek! - wykrzyknął pan Peck. - A dalej będzie nam szło jeszcze lepiej. Przekonacie się sami!

Nie zwlekając ruszyli szparko na północ. Chwilami autostrada opadała niemal do poziomu fal, łagodnie pełzających po płaskiej plaży, na innych odcinkach biegła górą, wzdłuż skalnych urwisk, z których rozpościerał się wspaniały widok na rozmigotane wody oceanu. O parę mil za miasteczkiem Gaviota wpadli w tunel, po którego drugiej stronie ukazał się zupełnie odmienny krajobraz. Zamiast przybrzeżnych fal, zobaczyli stada krów. Pastwiska były jeszcze zielone po zimowych deszczach, a kwitnąca gorczyca rozsiewała po soczystej zieleni złote refleksy. Tu i ówdzie widać było małe cielęta i źrebaki, brykające po porośniętych trawą pagórkach.

Było już wczesne popołudnie, kiedy ich oczom ukazało się znowu morze.

- Pismo Beach! - powiedział pan Peck. - Wiesz, Pete, kiedy byłem młody, jeszcze zanim urodziła się twoja mama, przyjeżdżałem często do Pismo Beach na weekendy razem z twoją babcią. Czasami wygrzebywaliśmy z piasku jadalne mięczaki. Nie robiłem tego od wielu lat. Tego rodzaju przysmaki nie podniecają mnie już wprawdzie, ale zjechać aż do samej plaży mogłoby być niezłą frajdą.

- Ma pan na myśli jazdę samochodem po piasku? - spytał Bob. - Czy to jest dozwolone?

- Tu w Pismo tak - odparł pan Peck. - Ciekawe, czy uda mi się znaleźć tamto miejsce.

Powiedziawszy to, zjechał z autostrady i zaczął błędzić po wznoszących się i opadających uliczkach, kończących się często ślepyimi zaułkami. W końcu dojechał do pochyłej rampy, prowadzącej od wylotu ulicy do twardo ubitego piasku plaży.

- Nie zakopiemy się? - zapytał Pete, odnoszący się nieufnie do niektórych przynajmniej pomysłów dziadka. - Jesteś pewien?

- Tak - odparł pan Peck. - Popatrz tam - dodał wyciągając rękę w kierunku mknącego po plaży tuż powyżej linii wody volkswagena. Co chwila jakaś fala załamywała się dalej na brzegu i maleńki samochodzik wbijał się w nią, rozbryzgując wokół fontanny wody.

- Bycza sprawa! - powiedział Pete. - Ale czy przypadkiem volkswageny nie są wodoszczelne? Co by było, gdyby nasz buick tam ugrzązł?

- Za bardzo się przejmujesz - stwierdził dziadek.

Pete westchnął ciężko. Zdawał sobie sprawę, że rzeczywiście jest czymś wiecznie zatroskany, ale czy mógł tego uniknąć, mając w rodzinie dziadka Pecka?

Buick uporał się z rampą, a potem gładko pomknął po plaży. Nad oceanem wisiał teraz znowu mglisty opar.

- Nie wiem dlaczego, ale w tej okolicy jest zawsze dużo mgły - powiedział pan Peck.

Zatrzymał samochód, pociągnął za ręczny hamulec i odwrócił się do chłopców.

- Muszę wyprostować nogi - oznajmił. - Macie ochotę na mały spacer?

- Jeszcze jaką! - odpowiedział mu Pete.

Wszystkie drzwi samochodu otworzyły się jednocześnie. Chłopcy wyskoczyli na plażę. Pan Peck zamknął auto, a potem cała czwórka ruszyła wzdłuż brzegu. W parę minut potem przylegające do plaży miasteczko Pismo Beach było już za nimi. Tworzyła je gromadka stojących blisko siebie domów, skupionych tuż za chroniącym je przed oceanem piaszczystym obwałowaniem. Tuż za miastem zaczynał się pas skalnych urwisk, na których tłoczyły się hotele i motele,

Mglisty opar przybliżył się i zaczął powoli zamykać się wokół nich, odcinając zarazem widok ciągnącego się przed nimi brzegu. Powietrze zastygło w trwożnym bezruchu, jak to bywa w czasie mgły. Chłopcy domyślali się, że tuż za skupionymi na skalnym klifie hotelami ciągnie się autostrada, nie dochodziły ich jednak żadne odgłosy jadących nią samochodów.

Przed nimi ciągnęła się całkowicie niemal wyludniona plaża. Zobaczyli jakąś samotną postać, zbliżającą się ku nim szybkim krokiem. Mgła zgęstniała jednak nagle i spacerowicz znikł z ich pola widzenia. Otoczyła ich ze wszystkich stron szara, przygnębiająca pustka.

Jupe'a ogarnęły jakieś złe przeczucia. Miał wrażenie, jakby w tej mgle kryło się coś groźnego, jakaś potęga zdolna porwać ich gdzieś daleko stąd i stłumić wszelkie wołania o pomoc.

Wzdrygnął się mimo woli. Wiedział oczywiście, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Że to tylko nieszkodliwa mgła, która zakryła słońce i otuliła plażę nieprzyjaznym, wilgotnym oparem.

- Proszę pana, czy nie odeszliśmy za daleko? - zapytał Bob, który w tym momencie maszerował żwawo przed Jupe'em, starając się dotrzymać kroku najwyższemu ze wszystkich i najbardziej muskularnemu Pete'owi. Zadawszy to pytanie, spojrział na prawo, gdzie jeszcze przed chwilą siedł pan Peck. Teraz nie było go tam widać.

Pete zatrzymał się.

- Dziadku? - zawołał. - Ej, dziadku, gdzie jesteś?

Jego pytanie zostało bez odpowiedzi.

- Panie Peeeck! - krzyknął Jupiter.

Przez chwilę czekali w milczeniu, a potem Jupe stwierdził, że nie ma żadnych powodów do obaw. Starł się mówić to z jak największym spokojem, czuł jednak, że jego samego przenika nagły lęk. Gdzie się podział pan Peck? Chyba nie mógł tak zwyczajnie zniknąć we mgle? A może jednak?

- Trzymajmy się blisko siebie, dobra? - powiedział Pete.

- Jego postać, widoczna obok Boba, była zaledwie rozmazanym cieniem. Położył rękę na ramieniu niższego niż on sam kolegi, jakby chciał uchronić go od zniknięcia w posępnych oparach.

- Panie Peck! - zawołał Bob.

- Dziadku, gdzie jesteś? - zawtórował mu błagalnym głosem Pete.

- Spokojnie, chłopcy! - odpowiedział mu znajomy, gderliwy głos.

Nagły podmuch wiatru rozpędził na moment mgłę i Trzej Detektywi zobaczyli pana Pecka. Z napiętą, czujną miną kulił się za wielkim, okrągłym głazem leżącym u stóp urwiska.

- O co chodzi, dziadku? - zapytał szeptem Pete.

Starszy pan odpowiedział mu gestem nakazującym milczenie.

- Aha! Tak właśnie myślałem! - burknął w końcu pan Peck.

Samotny spacerowicz, którego chłopcy widzieli wcześniej na plaży, ukazał się znowu ich oczom, tym razem całkiem blisko. Posuwał się ostrożnie w ich kierunku, stąpając sztywno, jakby szukał drogi po omacku.

- Ty kanalio! - wrzasnął pan Peck, a potem wyskoczył zza głazu i rzucił się ku ledwo widocznemu przybyszowi.

Mężczyzna odskoczył do tyłu, wydając na pół zduszony krzyk.

- Jak pan śmie? - krzyknął pan Peck, chwytając go za przednią część koszuli. - Jak pan śmie

wlec się za mną aż tutaj?

- Odczep się, ty czubku! - warknął mężczyzna.

- O rany! - jęknął Pete.

- Peck, ty stary bałwanie! - wrzasnął nieznajomy. - Zostaw mnie w spokoju albo skręcę ci ten twój chudy kark!

Jego głos wydał się Pete'owi dziwnie znajomy. Tak, należał on do Eda Snabela, znenawidzonego sąsiada dziadka Pecka.

Pan Peck nie zwolnił chwytu, ale zaczął potrząsać swym starym wrogiem.

- Ty obłudny złodziejaszku! - rzucił wściekle. - Wiem, co chcesz zrobić. Myszkuje w godzinach, w których uczciwi ludzie śpią w swych własnych łóżkach, dowiedziałeś się o moim ostatnim wynalazku. Nie wystarcza ci podkradanie moich narzędzi. Chcesz zwędzić także moje pomysły. No cóż, ktoś, kto urodził się z takim kaczym mózdzkiem...

Mężczyzna wyszarpnął się z uchwytu i odskoczył od dziadka Pecka.

- Ty obłąkańcu! - wrzasnął, a potem zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. - Policja! Na pomoc! Morderca!

- Panie Snabel, niech pan tego nie robi! - krzyknął Pete, rzucając się między swego dziadka i jego przeciwnika, po czym złapał Snabela kurczowo za ramię. - Proszę pana, mój dziadek nie chciał panu zrobić nic złego. Miał tylko zamiar...

- Jak śmiesz! - ryknął Ben Peck. - Jak śmiesz przeproszać go w moim imieniu! Odpowiadam za każde słowo. Wiem, co ten żmijowaty pasożyt zamierza zrobić. Teraz nie wymknie mi się. Przyskrzynię go na amen, jak mi Bóg miły!

Jeszcze raz rzucił się na Snabela, próbując go złapać. Tym razem Snabel nie krzyczał. Odstąpił sztywno do tyłu, mając oczy utkwione w twarzy pana Pecka.

- Szpieg! - szydził pan Peck. - Złodziejaszek! Kombinator! Dlaczego nie poszedłeś do pracy, choć mamy zwykły roboczy czwartek? No co? Ponieważ przyszło ci do głowy, że gdzie indziej można odnieść większe korzyści. Może nie?

Snabel odwrócił się plecami i zaczął oddalać się sztywno wzdłuż brzegu.

- Prawda boli, co? - krzyknął za nim pan Peck.

Ale Eda Snabela nie było już widać. Wchłonęła go mgła, ratując przed strasznym staruszkiem, który nadal wściekał się i kipiał gniewem.

- Nie do wiary! - Prychał i sapał. - Prawdziwy skandal! Jeżeli jeszcze raz spróbuje czegoś

takiego, naprawdę postaram się napędzić mu strachu!

Pete uświadomił sobie, że cały dygoce. Wszystko to było jak zły sen, a jego dziadek był wariatem, całkowitym, kompletnym wariatem. Był po prostu niebezpieczny. Mógł zrujnować całą tę wyprawę, zanim jeszcze dojadą do San Francisco. Mógł znaleźć się za kratkami w którymś z miast na wybrzeżu. A może Jupiter i Bob dojdą do wniosku, że podjęli się zbyt trudnego zadania i póki czas zabiorą swoje rzeczy, aby wrócić najbliższym autobusem linii Greyhounda do Rocky Beach?

- Dziadku - powiedział w końcu - dlaczego uważasz, że pan Snabel śledził cię aż tutaj? Cała ta sprawa wydaje mi się taka dziwna. Przecież on także ma prawo pojechać sobie na wycieczkę, prawda? Może ma jakichś przyjaciół w Pismo Beach i wpadł tu, żeby ich odwiedzić?

- Bzdura! - uciął krótko pan Peck. - Snabel nigdzie nie ma żadnych przyjaciół. Nawet gdyby mu ktoś posłał przyjaciela opakowanego w kolorowy papier, nie wiedziałby, jak się z nim obejść. Ale zapamiętaj sobie moje słowa, oglądaliśmy go dziś nie po raz ostatni. Nie dostanie jednak tego, za czym tak węższy. Prędzej umrę, niż to się stanie!

- Panie Peck, a za czym on tak węższy? - zapytał Jupiter.

Starął się nadać swemu głosowi taki wyraz, jakby wierzył w teorie pana Pecka, toteż starszy pan uspokoił się w jednej chwili.

- Chce mi podkraść pewien pomysł - powiedział.

- Wynalazek? - zapytał Pete. - Ten, który masz zamiar przedstawić tym facetom z Nowego Jorku?

- Oczywiście. Ale nie mów o tym w taki sposób, jakbyś miał do czynienia z jakimś ekscentrycznym dziwakiem. Ten wynalazek to prawdziwy przełom. Mógłby zrewolucjonizować całe... całe...

Urwał, nie dokończywszy zdania.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Dla waszego dobra najlepiej będzie, jeśli poprzestanę na tych wyjaśnieniach. Snabel nie jest może jedynym człowiekiem, który chce mi to wykraść. Ale jeśli chcemy dotrzeć przed zmierzchem do Monterey, ruszajmy lepiej w drogę.

Niespiesznym krokiem ruszył z powrotem, nagle uspokojony i beztroski, jakby nic się nie wydarzyło. Trzej chłopcy poszli wolno za nim, zastanawiając się nad zachowaniem starszego pana. Zdawali sobie sprawę, że rozpoczynają dziś długą podróż, która mogła trwać przynajmniej miesiąc, a może nawet dłużej. Czy dziadek Pete'a był po prostu nieznającym żadnych hamulców ekscentrykiem, czy też mieli przemierzyć cały kraj w towarzystwie autentycznego szaleńca?

Rozdział 5

Coś tu nie gra

- W czasie tej wycieczki - powiedział pan Peck - nie zamierzam dzielić pokoju z żadnym z was. Chłopcy miewają zawsze dziwaczne pomysły. Potrafią poprosić o trzeciej nad ranem o szklanek wody, a nawet o krakersy z serem. Jestem za stary, aby narażać się na wyskakiwanie z łóżka z powodu takich głupstw.

Po tym oświadczeniu pan Peck poprosił o dwa pokoje w motelu, położonym o parę przecznic od rybackiego nabrzeża w Monterey. Następnie ugościł chłopców kolacją złożoną z rybnych dań w jednej z restauracji przy Cannery Row. Przy jedzeniu z humorem opowiadał o Monterey i o hiszpańskiej Kalifornii. Niedawne spotkanie ze Snabelem wydawało się już odległym w czasie i przestrzeni, nic nie znaczącym epizodem. Pan Peck najwyraźniej usunął je ze swej pamięci.

Tego wieczoru chłopcy wcześniej poszli do łóżek i bardzo szybko uświadomili sobie, że pan Peck podjął słuszną decyzję dotyczącą oddzielnych pokoi, tyle że jej usprawiedliwienie okazało się zupełnie inne. Bo gdyby postanowił spędzić noc razem z nimi w jednym pokoju, to oni nie zmrużyliby oka przez całą noc. Dziadek Pete'a chrapał z takim wigorem, że dzieląca oba pokoje ściana trzęsła się jak galareta.

- Musi mieć jakieś problemy z zatokami - stwierdził Bob.

- Mama mówi, że nie - zaprzeczył Pete. - Twierdzi, że dziadek nie lubi, aby go ignorowano. Nawet wtedy, gdy śpi.

Jednak dzięki dzielącej ich od starszego pana ścianie chłopcy prędko zapomnieli o chrapliwych odgłosach. Zapadli w sen, z którego zbudziły ich dopiero promienie słońca wdzierające się przez szparę między firankami.

Pan Peck był już na nogach. Chłopcy słyszeli szum wody lejącej się z jego prysznic. Pluskał się podśpiewując wesoło. Musieli się spieszyć, aby zdążyć ze wszystkim, kiedy z hałasem zastuka do ich drzwi.

Na śniadanie były kiełbaski i naleśniki oraz dzbanek soku pomarańczowego. Zjedli je w jakimś barze koło nabrzeża. Jupiter starał się zachowywać tego ranka jak najspokojniej. Właśnie zajadał bez pośpiechu kolejną kiełbaskę, wyglądając przez okno w kierunku zatoki, kiedy zauważył znajomą sylwetkę. Mężczyzna przechodził przez ulicę naprzeciwko baru. Mimo woli Jupe wzdrygnął się lekko, a potem opuścił oczy na talerz i zabrał się do zbierania kawałkiem naleśnika resztek klonowego syropu.

Naprzeciwko niego, tuż obok dziadka, siedział Pete, którego uwagi nie uszło nagłe drgnięcie i przelotny cień na twarzy Jupe'a. Otworzył usta, aby spytać kolegę o przyczynę tego niepokoju. Jupe zmarszczył brwi i leciutko pokręcił głową, powstrzymując go w ostatniej chwili.

- Najadłeś się, Jupiterku? - zapytał pan Peck.

- Tak, proszę pana, dziękuję. To było naprawdę smaczne.

- Po prostu wspaniale! - stwierdził Bob.

Pan Peck odsunął krzesło i poszedł do kasy, aby zapłacić rachunek.

- Jupe, o co chodzi? - spytał Pete, pochylając się nad stołem. - Miałeś przez sekundę taką... śmieszoną minę.

- Snabel jest tutaj - odparł Jupe.

Pete odwrócił głowę do okna.

- W tym mieście? Jesteś tego pewien?

- Przed chwilą przeszedł tędy w kierunku Cannery Row.

Pan Peck wrócił do stolika, by położyć na nim napiwek.

- Macie ochotę na krótki spacer po nabrzeżu? - zapytał. - A potem ruszylibyśmy dalej. Chciałbym, abyśmy do wieczora minęli San Francisco, a może nawet dojechali aż do Santa Rosa. A jutrzejszy dzień moglibyśmy poświęcić na obejrzenie lasów sekwojowych.

Trzej chłopcy wyszli za panem Peckiem na dwór, a potem przeszli na drugą stronę ulicy. Bob miał ze sobą aparat fotograficzny i chciał zrobić parę zdjęć zatoki. Pociągnął całą czwórkę aż do końca przystani, skąd otwierał się widok na łodzie kołyszące się na cumach i jachty wypływające z zatoki na pełne morze.

Było jeszcze wcześniej, ale na rybackim nabrzeżu krzątało się już wiele osób. Wokół sklepów handlujących muszlami i innymi drobiazgami tłoczyli się turyści. Podczas gdy Bob robił zdjęcia, Pete przyglądał się krążącym nad portem mewom. Pan Peck stał bez ruchu przed wystawą sklepiku z muszlami.

W pewnej chwili pan Peck rzucił okiem w kierunku dochodzącej do przystani ulicy i zeszywniał.

- Znowu ten łotr! - krzyknął.

Jupe nie musiał spoglądać w tamtą stronę. Wiedział, że to Snabel. Nikt inny, tylko on. Pokazał się znowu i w jednej chwili pana Pecka opuścił pogodny nastrój. Jego miejsce zajęła istna furia.

- Hej, dziadku - powiedział Pete - nie przejmuj się tym. To jest wolny kraj i temu facetowi wolno tu przebywać, jeśli tylko ma na to ochotę.

Pan Peck prychnął wściekle.

- Doskonale. Ale ja nie mam ochoty znajdować się tu jednocześnie z nim!

Po tych słowach pan Peck dał nura do wnętrza sklepu i przykucnął za ogromną muszlą leżącą na wystawie. Z zewnątrz widać było tylko czubek jego siwej głowy.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowany, Snabel spokojnie ruszył nabrzeżem w ich kierunku. Z ramienia zwisał mu futerał od aparatu fotograficznego, który trzymał w ręku. Był to Canon II, taki sam, jak aparat Boba. I podobnie jak Bob, Snabel zdawał się rozglądać za malowniczymi widokami, nadającymi się do sfotografowania. Tego ranka wyglądał jak typowy turysta. Miał na sobie nowe, nie znoszone jeszcze džinsy i rozpiętą pod szyją koszulę. Stroju dopełniały nowe adidasy i kupiony gdzieś po drodze słomkowy kapelusz z szerokim rondem, które ocieniało teraz jego twarz.

Pete zawahał się. Czy powinien ostrzec Snabela przed dziadkiem, który mógł w każdej chwili spaść na niego jak sęp? Gdyby tak zrobił, dziadek mógłby poczytać mu to za zdradę. Pete nie miał wcale ochoty oglądać kolejnego starcia dziadka z panem Snabelem, nie chciał jednak także ściągać na swoją głowę gniewu starszego pana.

W końcu Pete odwrócił się plecami i zaczął się gapić na zatokę. Jupe uczynił to samo. Bob zrobił natomiast dwa czy trzy kroki w kierunku stojącej na nabrzeżu ławki. Usiadł na niej i udając, że nie widzi Snabela, odwrócił twarz w drugą stronę.

Snabel zbliżył się ze swym aparatem i zatrzymał się koło Pete'a tak, że niemal dotykał go swym ramieniem. Nie rozpoznał go jednak. Bezustannie oglądał się w kierunku, z którego przyszedł, i spoglądał na zegarek, tak jakby na kogoś czekał.

W minutę czy dwie później ktoś zbliżył się do niego.

- No, jak tam, Snabel? - zapytał męski głos. Pobrzmiewała w nim nutka rozbawienia z lekceważącym odcieniem.

Jupe odwrócił głowę i przyjrzał się mężczyźnie. Nowo przybyły mógł mieć niewiele ponad czterdzieści lat. Zwracał uwagę gładko przyczesanymi, ciemnymi włosami i przymilnym wyrazem twarzy. Ubrany był w luźne, jedwabne spodnie i koszulę z miękkiej, delikatnej tkaniny, wyglądającą kosztownie i modnie. Słoneczne okulary zakrywały sporą część jego twarzy, Jupe dostrzegł jednak jego wydatny, szczupły nos i wąskie usta, wykrzywione w kpiącym półuśmiechu. Drobne uszy mężczyzny przylegały płasko do głowy. W sumie sprawiał on wrażenie ugrzecznionej osoby, przyzwyczajonej do obracania na swoją korzyść każdej sytuacji. Stojący naprzeciwko tak wytwornej osobistości, pucułowaty Snabel wyglądał sztywno i niezręcznie w swych nowych džinsach i lśniących białych adidasach.

- Przyniosłem to - powiedział Snabel.

Nowo przybyły rzucił okiem na Jupitera, który szybko odwrócił głowę udając, że niewinnie przygląda się zatoce.

- Dawaj - powiedział mężczyzna, a potem zrobił parę kroków wzdłuż nabrzeża. Snabel pospieszył za nim.

Jupe kątem oka śledził obu mężczyzn, którzy znaleźli się teraz tuż koło Boba. Snabel najwyraźniej starał się sprawiać wrażenie osoby całkowicie rozluźnionej. Oparł stopę na końcu ławki, na której siedział Bob, i zaczął kołysać zwisającym mu z ramienia aparatem.

Nagle jego oczy spoczęły na Bobie, który ze wszystkich sił starał się nie zwracać jego uwagi.

- Ki diabeł! - powiedział Snabel, po czym zgiął się wpół i wlepił oczy prosto w twarz Boba. Jupe mógłby przysiąc, że zbladł przy tym trochę.

Ze zdziwioną miną Snabel wyprostował się i rozejrzał dokoła siebie. Zobaczył Pete'a i Jupitera, a także fragment siwej czupryny wyglądający spoza wielkiej muszli. W tej samej chwili buchający straszliwą furią pan Peck podniósł się na nogi, ciskając wściekłe spojrzenia. Snabela ogarnęła śmiertelna bladość.

- Nie mogło być lepiej! - mruknął Pete, a potem skoczył na równe nogi, aby znaleźć się między Snabelem i sklepem z muszlami. Spóźnił się jednak. Pan Peck wypadł z purpurową twarzą ze sklepu. Zacisnął pięści tak, jakby miał za chwilę zamiar zmieść Snabela z powierzchni ziemi.

Snabel rzucił aparat na ławkę i szybko uniósł obie ręce. W pierwszej chwili chłopcy myśleli, że ma zamiar podjąć walkę. A jednak nie. Zrobił tylko jeden czy dwa kroki do tyłu, z rękami uniesionymi w obronnej pozycji.

Elegancki facecik w jedwabnych spodniach ulotnił się w mgnieniu oka.

- Ha! - krzyknął pan Peck i tym razem chwytając w garść przednią część koszuli Snabela. - Chyba nie przypuszczałeś, że zobaczymy się tak prędko? No? Wiem, do czego zmierzasz, Snabel, i nie mam zamiaru pozwolić ci na to. Zmądrzej wreszcie i daj temu święty spokój póki czas!

Snabel obliznął wargi. Chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydostało się tylko jakieś niezrozumiałe bulgotanie. A potem zaniósł się kaszlem.

Wbrew wszelkiej logice, nie próbował nawet odepchnąć od siebie pana Pecka. Nie zrobił ani jednego kroku do tyłu, nie szamotał się ani nie starał się uciec. Wpatrywał się tylko wytrzeszczonymi oczami w swego przeciwnika. Jego twarz nabrała sinych odcieni.

Pan Peck wypuścił z dłoni koszulę Snabela i parę razy stuknął mocno w jego pierś, tak jakby miał przed sobą drzwi, a nie żywego człowieka.

- Posłuchaj mojej rady i usuń się stąd, bo inaczej będziesz żałował do końca życia.

Zadowolony z wrażenia, jakie wywołał, pan Peck odwrócił się do chłopców.

- Ruszamy w drogę - powiedział wesoło. - Przez parę ostatnich minut groziło nam to, że zbiegnie się tu cała okolica.

Pete zdał sobie sprawę, że na dobre zapomniał o oddychaniu. Teraz wciągnął do płuc podwójną porcję powietrza.

Bob sięgnął po leżący na ławce aparat.

Trzej chłopcy ruszyli wraz z panem Peckiem wzdłuż nabrzeża w stronę parkingu, na którym zostawili buicka. Pan Peck chichotał w czasie otwierania drzwi i wsiadania do środka. Kiedy jechali już ulicą w stronę autostrady, zaczął się śmiać pełnym głosem.

W tym momencie ktoś zaczął krzyczeć za nimi. Był to Snabel. Ścigał ich ze słomkowym kapeluszem w jednej i aparatem fotograficznym w drugiej ręce.

- Zaczekajcie! - wrzeszczał z całej siły. - Panie Peck! Tylko na chwileczkę!

Pan Peck nacisnął mocniej pedał gazu i auto skoczyło żwawo do przodu.

- Dziadku, o co w tym wszystkim chodziło? - zapytał Pete.

- A jak myślisz, o co tu mogło chodzić? - odparł pan Peck. - Ten nędzny pasożyt próbował wcześniej dostać się do mojego domu, a teraz wlecze się za nami, ponieważ myśli, że mam tu ze sobą moje notatki i prototyp. Chce zawładnąć moim wynalazkiem i ogłosić go jako swój własny. Ale figa z makiem! Prędzej zobaczę go za kratkami, niż pozwolę mu dotknąć mojej własności.

- Zdaje się, że jeśli jeszcze raz zrobisz to, co dziś, prędzej zobaczysz go w szpitalu, na oddziale dla osób po ataku serca - ostrzegająco stwierdził Pete. - Był śmiertelnie przerażony. Wiesz, dziadku, jeżeli będziesz się dalej zachowywał w ten sposób, to zamkną za kratkami raczej ciebie. A wtedy mama porządnie wygarbuje mi skórę!

Rozdział 6

Pete przewiduje kłopoty

- Kiedy mój dziadek zachowuje się normalnie, jest naprawdę fajny - powiedział Pete. - No bo kto inny miałby ochotę jechać samochodem przez całą Amerykę z gromadą dzieciaków na karku? A w dodatku zdaje się, że nasze towarzystwo sprawia mu przyjemność. Ale kiedy zaczyna szaleć... robi się po prostu strasznie!

Jupe kiwnął głową. Znał pana Pecka od wielu lat, nigdy dotąd jednak nie spędził z nim tak wiele czasu. Czuł się wstrząśnięty i zaintrygowany niektórymi jego zachowaniami. Pierwszy Detektyw nieczęsto pozwalał dorosłym na to, aby brali nad nim górę, ale pan Peck był kimś zupełnie wyjątkowym. Jupe miał pewność, że zanim ta wycieczka się skończy, znajdą się nieraz w kłopotach, i to nieliczych!

Było pół do drugiej po południu. Jupiter i Pete, oparci o błotnik buicka, przyglądali się panu Peckowi, który wgramolił się właśnie razem z Bobem na trawiaste wzgórze. Bob zajęty był

pstrykaniem zdjęć, natomiast pan Peck przyglądał się z zadowoleniem Zatoce San Francisco, na której tle rysował się wspaniały Golden Gate Bridge. Starszy pan był w świetnym nastroju. Pete miał nadzieję, że ten dobry humor będzie mu towarzyszył nadal.

Bo rzeczywiście, tego dnia pan Peck złościł się bardzo krótko. Coś tam mruczał i gderał do chwili, gdy znaleźli się na sto pierwszej autostradzie. W tym momencie Snabel ulotnił się z jego myśli niczym mgła pod promieniami słońca i pan Peck zaczął pogwizdywać. Migiem znaleźli się w San Francisco, gdzie zatrzymali się, aby zjeść lunch i kupić jakieś pamiątki. Po lunchu pan Peck opowiedział chłopcom o wielkim trzęsieniu ziemi, które nawiedziło San Francisco w 1906 roku.

- Prawie całe miasto spaliło się wtedy, prawda? - zapytał Jupiter.

Pan Peck skinął potakująco głową.

- W czasie wstrząsów popękały przewody z gazem i rury wodociągowe, więc kiedy wybuchł pożar spowodowany palącym się gazem, nie było czym gasić.

Powiedziawszy to, pan Peck spojrzął na zegarek i oznajmił, że czas ruszyć w dalszą drogę.

Kiedy przejeżdżali przez Golden Gate Bridge, było trochę po drugiej. W Sausalito zjechali z autostrady i zaczęli wspinać się na pobliskie wzgórza, gdzie zatrzymali się, aby umożliwić Bobowi zrobienie paru nowych zdjęć. Około pół do trzeciej Bob zorientował się, że wypstrykał już cały film włożony do aparatu.

- To dziwne - powiedział. - Mógłbym się założyć, że na tej rolce powinno być jeszcze sporo wolnych klatek.

Nie namyślając się długo, zbiegł do stojącego u stóp wzgórza auta, wyjął z bagażnika torbę z przyborami fotograficznymi i założył do aparatu nowy film. Następnie wrócił na górę, aby zrobić jeszcze kilka zdjęć.

Wkrótce potem wrócili na autostradę i popędzili na północ. Droga prowadziła przez malownicze okolice. Chylące się ku zachodowi słońce rzucało coraz dłuższe cienie.

Zatrzymali się w Santa Rosa w porze kolacji. Pan Peck wynajął w miejscowym motelu dwa sąsiadujące ze sobą pokoje, połączone wewnętrznymi drzwiami. Żartował, że tym razem będzie mógł mieć oko na chłopców.

- Zdaje się, że w czasie tej wycieczki każdy z nas pilnuje wszystkich pozostałych - powiedział Pete, którego znowu ogarnął posepny nastrój.

Ale tylko na chwilę. Chłopiec rozjaśnił się, kiedy pan Peck zaproponował, aby popływać w motelowym basenie. Jeszcze bardziej rozweselił się podczas kolacji, toteż oglądając wraz z Jupiterem i Bobem telewizję w ich pokoju czuł już tylko przyjemną, senną ociężałość.

W pewnej chwili postanowił zejść do stojącego obok basenu automatu po puszkę wody sodowej. Droga do drzwi wypadła mu koło okna. Pete wyjrzał przez nie i natychmiast zapomniał o

wodzie.

Pokój chłopców położony był na piętrze i wychodził na parking. Pete zobaczył rzędy stojących na nim samochodów. Prawie na wprost balkonu należącego do ich pokoju stał też ich buick, a tuż za nim lśnił potężny, nowy lincoln.

W tej właśnie chwili wysiadał z niego Edgar Snabel.

Pete zdrętwiał. Przez moment stał jak sparaliżowany, nie mogąc złapać oddechu. A potem zakręcił się na pięcie i zawołał:

- Jupe, Bob mam tu coś dla was!

W ułamku sekundy obaj koledzy znaleźli się obok niego. Ich oczom ukazał się Snabel okrążający powoli auto pana Pecka. W pewnej chwili Snabel pochylił się i zajrzał przez okno do środka. A potem podszedł do bagażnika i nacisnął zamek, jakby chciał go otworzyć. Wreszcie obejrzał się w kierunku recepcji i przesunął wzrokiem po oknach na piętrze.

Chłopcy odruchowo cofnęli się do wnętrza pokoju.

Snabel zmarszczył brwi, a potem wszedł do lincolna i odjechał.

Przez chwilę chłopcy milczeli, jakby ich zamurowało.

- Podejrzenia twojego dziadka są być może uzasadnione - szepnął w końcu Jupe. - Ten Snabel chyba rzeczywiście chce podkraść mu jego pomysły.

Pete pokręcił głową.

- Sam już nie wiem. Zakładałem dotąd, że musi to być jeszcze jeden ze zwariowanych pomysłów dziadka. Ale być może on nie jest aż tak skory do oskarżania innych. Albo obaj, i on, i Snabel, mają potężnego fioła. Ale... może lepiej nie mówmy dziadkowi, że widzieliśmy tu Snabela. Na pewno poleciałyby na policję z żądaniem, żeby go przymknęli. Nigdy nie wiadomo, co może strzelić do głowy glinom... Mogliby wsadzić do ciupy naszego dziadka!

- Tak, rzeczywiście nie można mieć żadnej pewności - zgodził się Jupiter. - Przynajmniej w sprawach, w które zamieszany jest pan Peck.

- Wiecie co - odezwał się Bob - może to jest zwykły zbieg okoliczności. Snabel także przecież mógł wyjechać na urlop i przypadkowo wybrać tę samą trasę. A teraz zobaczył samochód pana Pecka i doszedł do wniosku, że lepiej będzie spędzić noc gdzie indziej.

- Ej, coś mi przyszło do głowy - wtrącił Pete. - Skąd ten Snabel wziął takiego nowiutkiego lincolna? Jeździ przecież starym, poobijanym chevroletem.

- Mógł wynająć go w jakiejś agencji - powiedział Jupiter. - Przyszło mu do głowy, że jego stare auto nie przetrwa takich trudów.

Z tą konkluzją Trzej Detektywi wrócili do oglądania telewizji. Także pan Peck zajrzał na chwilę, aby popatrzeć na wieczorny program. O pół do jedenastej doszli do wniosku, że czas zakończyć oficjalną część dnia i pogasili światła.

Pan Peck momentalnie zapadł w sen i z jego pokoju zaczęły dochodzić grzmiące odgłosy chrapania. Pete podniósł się, żeby zamknąć drzwi między obu pokojami, a potem rzucił się z powrotem na łóżko i wkrótce zasnął na dobre.

Śniły mu się jakieś dziwne, ale przy tym rozpaczliwie znajome sceny. Przechodził ze swym dziadkiem przez hol jakiegoś hotelu. Był to ogromny hol wypełniony elegancko ubranymi ludźmi, którzy przyglądali się im, wytykali ich palcami i śmiali się z nich. Pete zdał sobie nagle sprawę, że jego dziadek paradytuje, mając na sobie jedynie czerwoną podkoszulkę i białe spodenki gimnastyczne, zdobione naszytymi na nie czerwonymi serduszkami. A on sam, Pete, nie miał na sobie dosłownie nic!

Obudził się z nagłym dreszczem. W pokoju było bardzo ciemno, z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Pete pomyślał, że musi być bardzo późno. Wysunął się z łóżka, żeby pójść do łazienki i napić się wody. Po drodze znalazł się koło okna.

Zobaczył sylwetkę mężczyzny, skradającego się powoli wzdłuż rzędu zaparkowanych samochodów. Zesztywniał z wrażenia.

Niewyraźna postać przykucnęła tuż obok buicka.

- Jupe!

Pete podbiegł do łóżka Jupitera i potrząsnął kolegą.

- Jupe - szepnął. - Szybko! Obudź się! To Snabel. Jest na parkingu i grzebie przy naszym samochodzie!

Rozdział 7

Krąg strachu

Trzej Detektywi pomknęli na bosaka w dół zewnętrznymi schodami.

Jupe potknął się na którymś stopniu z głośnym hałasem. Aby nie spaść, złapał się poręczy.

Skulona koło buicka postać wyprostowała się. Mężczyzna rzucił okiem ku schodom, a potem chyłkiem pobiegł wzdłuż rzędu zaparkowanych aut w stronę ulicy.

Chłopcy popędzili za nim, potykając się na bosych nogach. Kiedy i oni znaleźli się na ulicy, po

nocnym łaziku nie było już śladu.

- A niech to! - krzyknął Bob. - Zgubiliśmy go!

- Wielkie dzięki, Jupe - powiedział Pete.

- Jesteś pewien, że to był Snabel? - zapytał Jupiter, nie zważając na sarkastyczną uwagę przyjaciela.

- Absolutnie tak - stwierdził Pete. - Przez moment mignęła mi jego twarz w świetle latarni, która pali się przed wejściem.

Wolnym krokiem chłopcy wrócili do buicka. Okrążyli go, sprawdzając zamki. Drzwi były zamknięte, bagażnik także. Jupe oparł się na kolanach i rękach i zajrzał pod samochód, ale i tam nie było nic podejrzanego.

- Może lepiej pójdę po latarkę - powiedział. Tuż nad ich głowami otworzyły się drzwi i na balkonie pojawił się pan Peck.

- Co się tam dzieje? - zapytał. - Jest prawie czwarta nad ranem!

Pan Peck starał się mówić jak najciszej, ale jego szept można było usłyszeć na pół mili stąd. W oknach skrzydła motelu, położonego naprzeciwko tej części parkingu, zaczęły zapalać się światła i ukazało się w nich kilku gości.

- Przed chwilą ktoś myszkował tu na dole - powiedział Pete.

- Założę się, że to Snabel - stwierdził pan Peck.

Pete nie potwierdził jego słów, ale też nie zaprzeczył im. Pan Peck polecił chłopcom, aby wrócili na górę. Kiedy znaleźli się już w swoim pokoju, zaczął od nowa gderać i narzekać na nieszczęsnego sąsiada.

- Ciekawi go, co też ja tu wiozę - oświadczył. - No, ale nigdy się tego nie dowie!

- Dziadku, a co ty właściwie masz ze sobą? - zapytał Pete.

- Nie powinno cię to obchodzić - odparł pan Peck. - Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej dla ciebie. A teraz, chłopcy, wracajcie do łóżek i starajcie się zasnąć. Nie ma sensu rezygnować z wypoczynku z powodu tego tchórza. Przynajmniej dopóki nie zrobił nic naprawdę złego. A chyba nie zrobił, prawda?

- Nie wydaje się nam, proszę pana - powiedział Jupe.

Pan Peck skinął głową.

- No tak, to w jego stylu. Żadnych konkretnych czynów, tylko podkradanie się i myszkowanie!

Po tych słowach pan Peck wrócił do łóżka i w zdumiewająco krótkim czasie zaczął znowu chrapać.

- Mam nadzieję, że dziadek się nie myli - powiedział zmartwionym głosem Pete. - Ale jeśli temu Snabelowi chodzi o coś więcej niż tylko myszkowanie i szpiegowanie? Jeżeli ma zamiar uszkodzić nasz samochód? Żeby był niezdolny do jazdy albo coś w tym rodzaju? Na wszelki wypadek, gdyby mu przyszło do głowy wrócić, idę spać do buicka.

Nie zwlekając Pete zwinął koc ze swego łóżka i cicho wszedł do pokoju dziadka. Ostrożnie, aby nie przerwać dziadkowego chrapania, podszedł do biurka i zabrał leżące na nim kluczyki od samochodu. Potem wraz z Jupiterem zszedł po schodach. Wyjął latarkę ze schowka na podręczne drobiazgi i próbował ją zapalić. Latarka nie działała.

- A niech to - mruknął. - Baterie całkiem zdechły. Nie mam zapasowych. Ale jak myślisz, co ten Snabel chciał tu zmajstrować?

- Co by to nie było - odparł Jupiter - nie udało mu się. No dobra, gdyby się pokazał jeszcze raz, będziesz wrzeszczał.

Pete obiecał przyjacielowi, że nie będzie żałował swoich płuc, po czym Jupe wrócił do pokoju. Pete wsunął się na tylne siedzenie buicka i skulił się pod kocem, pewien, że nie zmruży oka nawet na chwilę.

Zapał jednak w niespokojny sen, pełen nowych, dziwacznych majaków. Kiedy się obudził, słońce było już całkiem wysoko, na drzewach ćwierkały ptaszki, a jakaś puciołowata kobieta w ciemnoczerwonym dresie stuknęła w okno samochodu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Pete uniósł się na siedzeniu, a potem opuścił nogi na podłogę auta.

Zaniepokojona kobieta szarpnęła za klamkę, ale Pete przed pójściem spać zamknął się od środka.

- Nic mi nie jest - odkrzyknął. - Dziękuję, wszystko w porządku.

Owinął się kocem, aby nie było widać pizamy, a potem otworzył drzwi i sztywno wygramolił się na zewnątrz.

- O czym to myślą twoi rodzice? - gderliwym głosem zapytała kobieta. - Niebezpiecznie jest spać w ten sposób!

- Tak, psze pani - powiedział Pete, po czym pędem wbiegł po schodach i zastukał do drzwi, aby Bob albo Jupe wpuścili go do środka.

- Patrzcie no! - mruknęła do siebie kobieta na parkingu. - Niektórzy ludzie gotowi są zrobić wszystko, aby tylko uniknąć płacenia za dodatkowy pokój!

Bob otworzył drzwi i Pete wśliznął się do pokoju. - Nie mówmy o tym ani słowa dziadkowi! - powiedział. - Dostałby szału, gdyby usłyszał, co wygaduje ta baba.

- Tak, z pewnością - powiedział śmiejąc się Bob.

Tego dnia jechali na północ autostradą, biegnącą przez sekwojowe lasy. Pan Peck był w słonecznym nastroju. Ogromne drzewa po obu stronach drogi przypomniały mu przeżycia z wcześniejszych wycieczek, na których bywał w tych stronach wiele lat temu, jeszcze za życia żony.

- Chyba nie pamiętasz zbyt dobrze babci, prawda? - zapytał Pete'a.

- Tylko trochę - odpowiedział Pete. - Pamiętam, że miała zwyczaj piec ogromne szarlotki.

- Tak, rzeczywiście - stwierdził pan Peck. - To było lekarstwo na wszystkie dolegliwości.

Jupe przyjrzał się staruszkowi i przyszło mu do głowy, że pan Peck jest jednocześnie jakby dwiema osobami. Jedną z nich był kochający, pełen entuzjazmu dziadek, zabierający wnuczka i jego przyjaciół na fantastyczną wyprawę. Drugą - swarliwy, stary dziwak, który żywił przesadne podejrzenia wobec swego sąsiada. Ale choć pan Peck wydał mu się w pierwszej chwili kimś naprawdę szalonym, Jupe musiał przyznać, że w jego oskarżeniach było jednak ziarno prawdy. Edgar Snabel rzeczywiście myszkował wokół buicka. Czy robił to z nadzieją, że uda mu się przechwycić jeden z wynalazków pana Pecka? Czy też kierowały nim jakieś inne motywy?

Po raz setny chyba Jupe próbował domyślić się, czego też mógł dotyczyć wynalazek pana Pecka. Wiedział jednak aż za dobrze, że nie należy o to pytać. Pan Peck nie zdradziłby tego w żadnym wypadku. Na szczęście nie miał nic przeciwko mówieniu na temat Snabela i Jupe'owi przyszło do głowy, że gdyby tylko pan Peck zechciał wystarczająco obszernie rozgadać się o swym sąsiedzie, Trzej Detektywi mogliby dowiedzieć się czegoś bliższego i o tamtej sprawie.

- Zastanawiam się nad tymi storczykami - powiedział nagle.

- Storczykami? - Bob wybałuszył oczy na Jupe'a. - Jakimi storczykami?

- Czy pan Snabel nie uprawia storczyków? - spytał Jupe.

- Tak - stwierdził pan Peck.

- Ale pan Snabel nie wygląda na kogoś, kto miałby wystarczająco dużo cierpliwości, żeby być ogrodnikiem - powiedział Jupe. - On nie strzyże przecież nawet swojego trawnika.

- Nie robi tego, bo strzyżenie trawnika nie przynosi żadnych dochodów - stwierdził pan Peck. - Chyba że jest się zawodowym ogrodnikiem. Snabela nie interesują rośliny, a tylko pieniądze. Znajduje mnóstwo czasu na swoje storczyki, ponieważ są one warte kupę forsy. Kupują je od niego kwiaciarze. Zapisał się do klubu miłośników storczyków, gdzie co miesiąc zbiera się cała gromada postrzeleńców na tym punkcie, żeby porównać przyniesione okazy. Założę się, że i im podkrada i to, i owo.

- A kto zajmuje się teraz jego storczykami? - spytał Jupe.

- Może któryś z członków klubu - odparł pan Peck. - Muszę się przyznać, że ani mnie to ziębi, ani grzeje. Kiedy on wprowadził się na naszą ulicę, przez pewien czas miałem zamknięty dopływ wody. Wydział kanalizacji znalazł jakiś przeciek między głównym przewodem wodociągowym i moim domem. I w czasie naprawiania tego wycieku nie miałem wody. Poszedłem więc z czajnikiem w rękę do Snabela, żeby nabrać trochę wody z kranu, który znajduje się koło jego domu. I wiecie, co się stało?

- Zawołał policję? - pytająco podsunął Bob.

- Groził, że to zrobi - powiedział pan Peck. - Oskarżył mnie też o to, że kiedy nie ma go w domu, podłączam się do jego kranu, żeby podlać u siebie trawnik! Tak, jakbym był zdolny do takich sknerskich trików!

W czasie tej tyrady nasada szyi pana Pecka przybrała odcień intensywnej czerwieni i po raz pierwszy tego dnia starszy pan przestał zwracać uwagę na mijane sekwoje.

- Nie ulega wątpliwości, że ten Snabel jest paranoikiem - stwierdził stanowczo. - Tylko dlatego mogło mu przyjść do głowy, że podkradam mu wodę. Wiecie, na czym polega paranoja? Można o niej mówić wtedy, gdy ktoś jest tak chory na umyśle, że widzi we wszystkich ludziach wrogów, którzy sprzyięgli się przeciwko niemu. Snabel jest paranoikiem!

Jupiter poczuł się trochę zniechęcony zaciekłością pana Pecka. Doszedł do wniosku, że na razie ma dość słuchania o Snabelu, i zrezygnował z dalszych aluzji, które mogłyby zachęcić pana Pecka do wynurzeń na temat tak mu niemiłego sąsiada. Przez pewien czas jechali w milczeniu.

Dzień był jednak zbyt uroczy, a sekwojowe drzewa pobudzały wyobraźnię swym przerażającym ogromem. Pan Peck szybko zapomniał o gniewie i zaczął na nowo snuć wspomnienia. Przez całą drogę, aż do Crescent City u północnych krańców Kalifornii, nie opuszczał go doskonały nastrój.

Kiedy dojeżdżali do tego małego, nadmorskiego miasteczka, słońce było już całkiem nisko. Wynajęli pokoje w motelu i umyli się z grubsza, a potem poszli zwiedzić miejscowy port jachtowy.

Maleńka przystań nie miała rozmachu rybackiego nabrzeża w Monterey. W pobliżu był jednak parking, kilka restauracji i jeden czy dwa sklepy. Na wprost restauracji przycumowanych było mnóstwo żaglowych łodzi. Krzątało się przy nich wiele osób, coś tam majsterkując przy takielunku, polerując i czyszcząc. Po nabrzeżu spacerowały pary, podziwiając zachód słońca i tańczące na niebie mewy.

- Zdaje się, że na dobre zgubiliśmy tego Snabela - odezwał się nagle pan Peck.

Pete poczuł, że ogarnia go niepokój. Dziadek przez dobrych parę godzin nawet nie wspomniał o kłopotliwym hodowcy storczyków, toteż Pete miał nadzieję, że całkiem o nim zapomniał. Było jednak inaczej.

- Obserwowałem przez cały czas drogę we wstecznym lusterku - powiedział pan Peck - i zdaje mi się, że nikt nie deptał nam po piętach. Musieliście porządnie przestraszyć tego tchórza zeszłej nocy, kiedy przyłapaliście go koło naszego samochodu.

- Jestem tego pewien - powiedział z przekonaniem Pete, a potem odwrócił się w stronę ulicy, skąd doszedł ich nagle ryk motorów i jakieś krzyki.

Na nabrzeże wjechało z rozpędem siedem motocykli, prowadzonych przez krzepkich młodych ludzi w czarnych skórzanych kurtkach.

- Hmmm! - mruknął pan Peck. - Banda jakichś twardzieli. I rzeczywiście. W uzupełnieniu czarnych kurtek większość z nich nosiła też brody - zmierzwiłone, gęste i długie, grożące dostaniem się do oczu w czasie jazdy, albo szczeciniaste, dziwacznie przystrzyżone w staromodne szpice i floresy. Wszyscy mieli na sobie pasy, skórzane bransolety nabijane ćwiekami i również połyskujące ćwiekami rękawice.

- Ej, dziadku! - krzyknął jeden z motocyklistów, kierując się prosto na pana Pecka. Minął go jednak bokiem.

Chłopcy byli pewni, że starszy pan wybuchnie złością. A jednak nie. Zamiast się gniewać, pan Peck popatrzył za motocyklistami i uśmiechnął się szeroko.

- Jestem pewien, że motocyklami jeżdżą również sympatyczni ludzie - powiedział - ale nie widzę tu żadnego z nich.

- Dziadku, może byśmy lepiej stąd poszli? - powiedział przymilnym głosem Pete.

Motocykliści odjechali z grzmotem motorów na koniec nabrzeża. Zatrzymali się tam wokół kolegi, który próbował przestraszyć pana Pecka, a potem obejrzel się na niego i chłopców, jakby się nad czymś zastanawiając.

- Chodźmy stąd! - Pete pociągnął swego dziadka za rękaw. - Nie stójmy tu!

- Eeej - jaaa! - wrzasnął któryś z motocyklistów.

Motocykl ryknął na wysokich obrotach i ten sam motocyklista co przedtem ruszył pełną szybkością prosto na pana Pecka i chłopców!

- Trzymajcie się za mną! - krzyknął pan Peck i zrobił krok do przodu, aby wziąć na siebie uderzenie rozpędzonej maszyny.

Jupe poczuł, że żołądek skacze mu do gardła. Tuż za pierwszym nadjeżdżali następni motocykliści, śmiejąc się i wrzeszcząc szyderczo. Jeden z nich zamachnął się czymś nad głową. Był to twardy, skórzany pas nabijany stalowymi ćwiekami.

Stojący koło chłopców gapie i spacerowicze odskoczyli w bok.

- Zadzwońcie po gliny! - krzyknął jeden z nich.

Motocykliści przejechali z hałasem obok pana Pecka, a potem zawrócili i zaczęli znowu się zbliżać do niego. Ich szydercze śmiechy przybrały na sile.

Otoczyli pana Pecka i stojących obok niego chłopców kołem i zbliżając się do nich powoli, zaczęli zamykać swe ofiary w coraz ciasniejszą pułapkę. Zdawała się ich bawić ta straszliwa gra.

- Brać go! - wrzasnął jeden z nich, a potem wysforował się przed towarzyszy i ruszył ostro na pana Pecka. W ostatniej chwili nacisnął hamulec i się zatrzymał.

Chłopcy ujrzeli maleńkie, ciemne oczka błyszczące nad jego brodą i białe, drobne zęby odcinające się od pokrytej kurzem twarzy. A potem usłyszeli jego śmiech, głośniejszy od warkotu wszystkich motocykli.

Pan Peck poruszył się. Był to ruch tak maleńki, że niemal umknął uwagi chłopców. Jakiś drobny przedmiot poszybował w górę i upadł o parę jardów dalej.

Rozległ się dźwięk podobny do wystrzału i z ziemi podniósł się kłęb dymu, czarnego, gęstego dymu, który okrył ciemną chmurą atakujące motocykle.

Najbardziej agresywny z motocyklistów otworzył szerzej małe oczka. Z wykrzywionych śmiechem ust wydostał się krzyk. Motocyklista podskoczył na siodełku, a potem tak gwałtownie skręcił w bok, że jego maszyna przewróciła się.

Pan Peck znowu coś rzucił. Dała się słyszeć kolejna eksplozja i w górę uniósł się jeszcze jeden kłęb dymu.

Motocykliści zaczęli zawracać, rozglądając się wściekle na wszystkie strony w poszukiwaniu tajemniczego strzelca.

Od ulicy doszedł dźwięk policyjnej syreny. Dwa samochody z migającymi na dachach kogutami wjechały z piskiem opon na nabrzeże.

- No co, chłopaki, idziemy na kolację? - zapytał pan Peck, a potem ruszył różnym krokiem w stronę jednej z restauracji widocznych w pobliżu. Chłopcy truchtem pobiegli za nim.

Wejście do restauracji zatłoczone było gapiami, którzy przyglądali się niedawnym wydarzeniom. Teraz rozstąpili się zgodnie, aby zrobić przejście panu Peckowi.

- Nic się panu nie stało? - zapytał jakiś mężczyzna, kładąc rękę na ramieniu pana Pecka.

- Nie powinien pan zabawiać się z tymi facetami - odezwał się inny z gapiów. - Oni mogą być niebezpieczni!

- Młody człowieku, ja się z nikim nie zabawiałem - oświadczył pan Peck. - Gdyby nie pojawili się policjanci, ci twardziele przekonaliby się, jaki ja potrafię być poważny!

Rozdział 8

Dni grozy

Pan Peck wyjrzał przez restauracyjne okno. Na nabrzeżu policjanci sprawdzali dokumenty motocyklistów, którzy z ociąganiem okazywali swoje prawa jazdy.

- Gdyby mi tak bardzo nie zależało na kontynuowaniu naszej podróży, złożyłbym skargę na tych wykolejenców - powiedział starszy pan. - Oskarżyłbym ich o napaść i znaleźliby się tam, gdzie ani przez chwilę nie mogliby nikomu zagrozić, czyli w pace.

Odwrócił się od okna i otworzył jadłospis.

Na nabrzeżu motocykliści zaczęli zapuszczać motory. Zawrócili całą grupą i ruszyli wolno w stronę ulicy. Policjanci również wsiedli do swych samochodów i pojechali za nimi.

- Jak pan myśli, czy oni jadą do aresztu? - zapytał Bob.

- Nie sądzę - odpowiedział pan Peck. - Myślę, że policja będzie im towarzyszyć do wyjazdu z miasta, a potem zostawi ich w spokoju.

- Dziadku, co to było, co narobiło tyle hałasu? - spytał Pete.

- Hałasu? Jakiego hałasu? - Pan Peck był wyrażnie skoncentrowany na jadłospisie. Można było pomyśleć, że całkiem zapomniał już o motocyklistach.

- Rzuciłeś coś w stronę tego, który jechał prosto na ciebie, i to wystrzeliło jak karabin. Co to było? Petarda?

- Absolutnie nie! - odparł pan Peck, jeżąc się przy tym, jakby go ktoś atakował. - Używanie petard jest zabronione na wielu terenach. To był jeden z moich pomniejszych wynalazków. Mam nadzieję, że jak tylko rzucę go na rynek, odniesie handlowy sukces. Jest to bardzo proste urządzenie, które robi dużo hałasu, wypuszcza kłęb dymu i jest całkowicie nieszkodliwe, a przy tym dozwolone przez prawo. Można by je zareklamować szerokiej publiczności jako środek do obrony własnej. Za jego pomocą dałoby się odstraszyć zarówno zwykłego złodziejaszka, jak i bandytę.

Pete uśmiechnął się szczerząc zęby.

- Jeżeli to jest w stanie przestraszyć takiego twardziela na motocyklu, będzie napędzać strachu wszystkim innym. Ale co będzie, jeżeli wieść się rozniesie i wszyscy rabusie i bandyci dowiedzą się, że to jest nieszkodliwe?

- Wtedy zacznę sprzedawać to urządzenie listonoszom - powiedział śmiejąc się pan Peck. - Nie

macie pojęcia, ile oni mają kłopotów ze źle wychowanymi psami.

Nie czekając na dalsze pytania, pan Peck zajrzał znowu do jadłospisu, aby oświadczyć po chwili, że dziś na kolację będzie łoś.

Parę minut po pierwszej następnego dnia, kiedy przejechali już przez Portland, Pete zauważył mijany właśnie drogowskaz.

- Ej, dziadku, stąd jest piękny widok na górę Saint Helens. Nie mogliśmy się zatrzymać?

- Oczywiście - odparł pan Peck. - Ile czynnych wulkanów można zobaczyć w ciągu jednego żywota? Zawsze mówię, że nie wolno rezygnować z żadnej okazji, jaka się nadarza.

Samochód zjechał z międzystanowej drogi i zaczął się wspinać coraz wyżej krętą dróżką prowadzącą na pobliskie wzgórza. Zrobiło się szaro, a nad drogą pojawiły się poszarpane strzępy chmur.

Kiedy dojechali wreszcie do punktu widokowego, zorientowali się, że obejrzą słynną górę jedynie w wyobraźni. Znajdowali się teraz powyżej pułapu chmur i skierowawszy wzrok ku wschodowi, gdzie powinien ukazać się wulkan, zobaczyli jedynie gęsty, szary tuman i nic więcej.

- A niech to! - powiedział Pete.

- Nie przejmuj się - uśmiechnął się pan Peck. - Mamy przed sobą cały ogromny kraj, wypełniony po brzegi pięknymi widokami.

Zawróciwszy, zaczęli zjeżdżać ku głównej drodze. Ale zanim jeszcze dotarli do niej, o przednią szybę buicka zaczęły rozbijać się krople deszczu.

Niektóre samochody na autostradzie jechały z włączonymi długimi światłami. Pan Peck zdecydował się zatrzymać na noc w Longview w stanie Washington. Był tak zaabsorbowany obmyśleniem dalszych planów, że nie zauważył zaparkowanego na poboczu drogi lincolna, który stał tam bez świateł, ale z włączonymi wycieraczkami. Z jego rury wydechowej wydobywała się strużka dymu, widoczna w wilgotnym powietrzu.

Na widok auta Jupe zdrętwiał. Kiedy minęli je i wmieszali się w kolumnę podążających ku północy samochodów, obejrzał się.

Zobaczył jakąś postać skuloną za kierownicą. Czy mógł to być Snabel? Auto wyglądało wprawdzie tak samo jak to, którym Snabel przyjechał do Santa Rosa, jednak Jupe nie miał żadnej pewności. Zdawał sobie sprawę, że na drogach można było spotkać setki takich szarych lincolnów. Niemal automatycznie zapamiętał numer tablicy rejestracyjnej: 920-XTJ.

- Snabel! - syknął nagle pan Peck, a potem bez żadnego ostrzeżenia nacisnął na hamulec. Jadący za nim samochód zaczął trąbić.

- Dziadku, uważaj! - krzyknął Pete.

Pan Peck przyspieszył znowu, dokładnie w chwili, gdy taranujące ich niemal auto skręciło w bok i wyhamowało, nie dotykając ich nawet. Chłopcy wyglądali na przestraszonych, toteż pan Peck zrobił skruszoną minę.

- Nie gniewajcie się - powiedział. - Ale ten stojący na poboczu samochód, który minęliśmy dopiero co... Niewiele brakowało, a byłbym go nie zauważył... Mógłbym przysiąc, że to był Snabel!

Chłopcy obejrzel się. Lincoln stał nadal na poboczu, niemal niewidoczny w szarym powietrzu deszczowego dnia.

- Nie próbuje nas gonić - powiedział Jupe. - Wygląda tak, jakby kierowca studiował samochodową mapę... Albo jakby był uszkodzony.

- Snabel mógł jednak pojechać za nami - stwierdził pan Peck. - Jeżeli ma choć trochę oleju w głowie, mógł się domyślić, że będziemy jechać tą drogą przynajmniej do Seattle. Może postanowił uspić naszą czujność.

Jechali teraz w milczeniu. Tego dnia wcześniej opuścili główną drogę i po dłuższym krążeniu po uliczkach Longview zatrzymali się w położonym zupełnie na uboczu małym motelu. Pan Peck stwierdził, że tu powinni czuć się bezpiecznie. Motel oddalony był na tyle od drogi, że Snabel nigdy by ich tu nie wytropił.

- Rzecz nie w tym, aby mi to specjalnie odpowiadało - powiedział pan Peck. - Nigdy w życiu nie unikałem walki, ale teraz zmaganie się z nim mogłoby przeszkodzić nam w kontynuowaniu wyprawy. Załatwię się z nim później. Najważniejsze, abyśmy dotarli do Nowego Jorku cali i zdrowi, no i żeby jazda była w miarę możliwości jak najprzyjemniejsza.

Podobnie jak pan Peck, Trzej Detektywi nie mieli także zwyczaju rozwiązywania kłopotliwych spraw przy pomocy uników. W tym przypadku jednak ucieczka od bezpośredniego starcia wydawała się jedynym sensownym posunięciem. Jeśli Snabel rzeczywiście ich ścigał, musieli poczekać, aż wykona pierwszy ruch. A jeżeli pan Peck uległ tylko złudzeniu, że Snabel jest na jego tropie, najlepszym wyjściem dla chłopców było nie odstępować starszego pana ani na krok.

Tej nocy Jupiter obudził się parę minut po północy. Z sąsiedniego pokoju dochodziło potężne chrapanie pana Pecka. Ale to nie te odgłosy nie dały spać Jupiterowi - do chrapania zdążył się już przyzwyczaić. Przyczyną był blask samochodowych reflektorów, które prześliznęły się po oknach motelu, kiedy jakieś auto skręcało powoli na podjazd, a potem zatrzymało się.

Mimo iż kierowca nie wyłączył silnika, drzwi samochodu otworzyły się. Dały się słyszeć odgłosy szybkiego biegu. Zamarły na chwilę, a potem ozwały się znowu.

Jupiter wyskoczył z łóżka.

Biegąc do okna, usłyszał dźwięk zatraskiwanych drzwiczek. Wyrzwał na dwór i zobaczył skręcający w ulicę wielki samochód.

Czy był to Lincoln? Nie mógł powiedzieć tego z absolutną pewnością.

Wrócił do łóżka ze stanowczym przekonaniem, że zaczyna się stawać takim samym dziwakiem, jak pan Peck. Przyszło mu do głowy, że niedługo będzie widział Snabela czającego się za każdym krzakiem albo siedzącego za kierownicą każdego doganiającego ich samochodu. A jeśli nawet Snabel rzeczywiście był na ich tropie, co miał nadzieję zyskać przez to? Jak dotąd, nie uszkodził nawet ich samochodu ani nie próbował splądrować zajmowanych przez nich pokoi.

A jeśli chodzi o wynalazek, który pan Peck zamierzał przedstawić w Nowym Jorku? Gdzie on mógł się znajdować? Jeżeli nie było to coś tak małego, aby zmieścić się w walizce, Jupe'owi nie przychodziło do głowy żadne miejsce w samochodzie, w którym to coś mogłoby być ukryte.

W końcu Jupe zapadł w sen. Kiedy się obudził, Bob i Pete byli już ubrani. Musiał się spieszyć.

Tego dnia jechali na wschód, najpierw wspinając się ku górskiemu łańcuchowi Cascade, a potem, po przekroczeniu go, zjeżdżając w dół na wielką równinę, która wydała się im raczej odludnym miejscem.

- To prawdziwa pustynia! - powiedział Pete. W jego głosie pobrzmiwało okropne rozczarowanie. - Myślałem, że stan Washington pokryty jest sosnowymi lasami.

Kiedy jednak minęli Spokane, znaleźli się znowu w górach. Od czasu do czasu spotykali potoki płynące wzdłuż drogi i prawie ciągle jechali wśród lasów.

Na nocleg zatrzymali się w Coeur d'Alene w stanie Idaho. I tym razem pan Peck nalegał, aby poszukać jakiegoś małego, położonego gdzieś z boku motelu, jak w Longview. Znowu cała czwórka przypomniawszy sobie o Snabelu.

Mimo to pan Peck był w całkiem dobrym nastroju.

- Może zgubiliśmy go na dobre - powiedział. - Przez cały dzień obserwowałem drogę we wstecznym lusterku i nie dostrzegłem nic podejrzanego. Nic zresztą nie ryzykujemy. Zostaniemy tu, a jeśli on ciągle nas tropi, pomyśli raczej, że zatrzymaliśmy się w Spokane albo że pojechaliśmy do Missoula.

Pete miał gorącą nadzieję, że pan Peck przestanie może wreszcie martwić się tym Snabelem. I rzeczywiście, wszystko na to wskazywało. Pan Peck nie wspomniawszy nawet o swym sąsiedzie ani przy kolacji, ani podczas uroczej, miniaturowej partii golfa, jaką rozegrali wieczorem. Po grze, która skończyła się jego wygraną, poprowadził chłopców z powrotem do motelu, bardzo z siebie zadowolony.

Kiedy wszyscy pogrążeni już byli we śnie, nocną ciszę przeszył nagle przeraźliwy gwizd.

- Co się dzieje? - zapytał Pete, siadając na łóżku.

Jękliwy, świdrujący w uszach dźwięk nie ustawał, wypełniając wszystkie zakątki budynku.

Pete pociągnął nosem, a potem zaczął krzyczeć.

- Jupe! Bob! Wstawajcie szybko!

Nie zwlekając podbiegł do ściany i rąbnął w nią parę razy, aby obudzić pana Pecka.

- Dziadku! To jest alarm pożarowy! Motel się pali!

Rozdział 9

Dymna zasłona

- Iiiii! - Nocną ciszę przeszywał jęk wielu przeciwpożarowych detektorów.

Uszu chłopców doszły odgłosy bieganiny i krzyków. Słysząc było trzaskanie zamykanych drzwi. Powietrze wypełniało się dymem.

Jupiter skoczył do telefonu i wykręcił numer straży pożarnej.

Pete wybiegł w piżamie na dwór i zaczął walić w drzwi pokoju pana Pecka.

- Dziadku! Dziadku, wstawaj! Motel się pali!

Krztusząc się od dymu, pan Peck niepewnie stanął w wejściu. Detektory wyły nieustannie.

Tymczasem Bob zdążył wciągnąć dzinsy i wybiegłszy na zewnątrz, zabrał się do budzenia śpiących mieszkańców motelu stukaniem do kolejnych drzwi.

W jednych z nich ukazała się kobieta w różowym kordonkowym szlafroku.

- Co takiego? - wymamrotała zaspanym głosem.

- Motel się pali - powiedział Bob.

W jednej chwili kobieta rozbudziła się.

- Norman, wstawaj! - zawołała w głąb pokoju. - Mówiłam ci, żeby nie zatrzymywać się w tej szcurzej norze!

W parę chwil chłopcy obiegli wraz z panem Peckiem cały budynek zbudowany w kształcie litery U. Walili do drzwi, nie bacząc na unoszące się wokół nich kłęby dymu, który zdawał się dochodzić z krańca jednego ze skrzydeł.

Od strony znajdującego się na dziedzińcu parkingu doszedł głuchy łoskot i brzęk tłuczonego szkła. Jakiś samochód z Indiany cofając się rąbnął w auto ze znakami Oregonu. Kierowca uderzonego samochodu wychylił się przez okno.

- Ty głupku, uważaj, jak jedziesz! - krzyknął wściekle.

Coraz więcej gości wysypywało się z zajmowanych przez nich pokoi. Pokasływali i obciążali szczerzej przypadkowe okrycia, aby uchronić się przed chłodem nocy. Niektórzy z nich biegli wprost do samochodów, pragnąc jak najprędzej wydostać się z zagrożonej strefy. Inni gromadzili się na dziedzińcu, aby obserwować rozwój wypadków.

- Czy ktoś zawiadomił straż? - zapytała jakaś kobieta.

- Tak - powiedział Jupe. - Już tu jadą.

- Jupe, popatrz tam - odezwał się Pete.

Na końcu jednego ze skrzydeł budynku widać było drzwi z napisem: WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU. Ze szpar wokół drzwi dobywał się gęsty dym.

- Masz rację, to tam - powiedział prędko Jupe. - Wszyscy do tyłu, jak najdalej od ognia - zwrócił się do stojących w pobliżu ludzi, a potem wraz z kolegami zaczął odsuwać ich od niebezpiecznych drzwi.

W tym momencie od strony ulicy dały się słyszeć dźwięki strażackich syren i warkot nadjeżdżających samochodów.

- Co tu się dzieje? - zapytał niski, łysy człowieczek w starym, zniszczonym szlafroku. - Jestem tu szefem - dodał. - W jednej ręce trzymał pęk kluczy, w drugiej - gaśnicę.

- Zdaje się, że pali się za tymi drzwiami - zaczął Jupe.

Kierownik motelu zabrał się z miejsca do otwierania drzwi.

- Niech pan zaczeka! - krzyknął Jupe. - Proszę nie otwierać tego wejścia!

Było już jednak za późno. Klucz obrócił się w zamku i drzwi otworzyły się z impetem. Z wnętrza buchnął kłęb płomieni, zmuszając do cofnięcia się kierownika motelu, któremu gaśnica wypadła z ręki. Aby uchronić się przed żarem, mężczyzna uniósł obie ręce do twarzy. Także chłopcy poczuli falę wionącego na nich gorącego powietrza.

Pete rzucił się, by pomóc mężczyźnie. Bob złapał za gaśnicę i odwróciwszy ją dnem do góry, skierował strumień płynnej piany na płomień buzujące we wnętrzu małego pomieszczenia.

Pod motel zajechały dwa strażackie wozy. Wskoczyli z nich wykrzykujący polecenia strażacy i w parę sekund potem Bob został odsunięty na bok. Jeden ze strażaków skierował do szczupłego wnętrza potężny strumień wody i było po wszystkim. Pożar zgasł. Zaraz potem wyłączyły się jęczące

aż dotąd detektory. W małym pokoiku, służącym za podręczny magazyn, widać było tylko parę zwęglonych mioteł i szczotek, stopione na bezkształtną masę plastikowe wiadro i czarną kupę mokrych szmat leżących na podłodze.

Do wnętrza wszedł jeden ze strażaków i popatrzył spode łba na zlane wodą łachmany, a potem odsunął je nogą. Podniósł jedną ze szmat i powąchał.

- Jakaś farba olejna - stwierdził. - Pachnie jak terpentyna. Czy pan coś tu malował?

Pytanie skierowane było do kierownika motelu, którego zar pozbawił przed chwilą brwi.

- Nie! - odpowiedział bez namysłu, a potem złożył ręce jak do modlitwy. - Naprawdę nie! Od tygodni, nie, od miesiący niczego tu nie malowałem!

Strażak powąchał znowu.

- Może płyn do polerowania mebli?

- Nie! - odparł kierownik motelu. - W żadnym wypadku. To znaczy, nie pozwalam służbie, aby rozrzucała tu wszędzie jakieś natłuszczone szmaty.

- Może mi się tylko zdawało - powiedział strażak, a potem rzucił mokrą szmatę na podłogę.

Pan Peck pociągnął nosem, jakby i on próbował coś wywęszyć z odległości paru kroków.

- Nie miałby pan tych problemów, gdyby używał pan Błyszczyku - powiedział.

- Błyszczyku? - zapytał niczym echo Bob.

- To jeden z wynalazków dziadka - wyjaśnił Pete. - Takie odpowiednio spreparowane tampony. Poleruje się nimi meble.

- Sprzedałem ten pomysł jednej z wytwórni mydła, a oni wsadzili go pewno do sejfu i zapomnieli o nim - powiedział gorzkim tonem pan Peck, a potem pomaszerował sztywno do swego pokoju. Po chwili doszły chłopców jego krzyki, jakby go ktoś napadł.

- Przeklęte złodziejskie nasienie! - wrzeszczał. - Pete! Jupiter! Bob! Chodźcie tu prędko!

Chłopcy ruszyli biegiem.

- Szybko sprawdźcie wasz pokój! - ponaglił ich pan Peck.

Stał w drzwiach swego pokoju i przyglądał się łóżku, które znajdowało się w wielkim nieładzie. Materac uniesiony był z jednej strony i złożony na pół, a koce i prześcieradła leżały na podłodze. Koszule, skarpetki i części bielizny pana Pecka rozrzucono po całym pokoju, a neseserek z przyborami toaletowymi leżał do góry dnem na stoliku.

Jupe'a po prostu zatkało. Przez chwilę stał jak sparaliżowany. A potem przemknął obok pana Pecka i pobiegł do łazienki. Wysoko nad wanną znajdowało się okno, wychodzące na tyły budynku. Było otwarte, a ze śladów pozostawionych na wannie można było się domyślić, że ktoś musiał stanąć na niej zabłoconym butem.

Jupe wspinał się na krawędź wanny i przyjrzał się bliżej haczykowi zamykającemu okno. Tu i ówdzie w jego okolicy farba było pozdrapywana.

- Ktoś sforsował zamknięcie i dostał się przez okno do środka - powiedział do pana Pecka. - Może wydostał się z powrotem tą samą drogą, albo wyszedł drzwiami. Ucieczka w tym tłumie nie sprawiła mu żadnego kłopotu, przy takim zamieszaniu i kłębach dymu.

Z sąsiedniego pokoju przybiegł pędem Bob.

- Ej, wiecie, co się stało?

- Tak - powiedział Jupe. - Ktoś był w naszym pokoju i przewrócił wszystko do góry nogami.

Bob kiwnął głową.

- Dokładnie tak. Ale, o ile wiem, nic nie zginęło.

- To Snabel! - krzyknął pan Peck. - Wytropił nas aż tutaj!

- Ale jak, dziadku? - spytał Pete. - Nawet jeśli to jego samochód był wczoraj zaparkowany przy drodze, to od tamtej pory nie widzieliśmy go ani razu. Skąd mógł się dowiedzieć, że tu jesteśmy?

- Mógł deptać nam po piętach - nie ustępował pan Peck. - Przypuśćmy, że ten lincoln został przez niego wynajęty. Mógł wymienić go na coś innego i jechał za nami innym samochodem.

Jupiterowi przypominał się wielki samochód, który mignął mu zeszłej nocy przed motelem w Longview, zatrzymał to jednak przy sobie. Nie było potrzeby jeszcze bardziej niepokoić starszego pana.

Pete przyjrzał się nieładowi panującemu w pokoju.

- Dziadku, nie próbujesz nawet sprawdzić, czy ten złodziejasek nie zwędził ci twojego wynalazku?

- Nie, nie był w stanie tego zrobić - odparł pan Peck. - Także w przyszłości nie ma na to najmniejszych szans.

Rzekłszy to, wyszedł z powrotem na dziedziniec. Chłopcy pospieszyli za nim.

Stało tam wciąż jeszcze wielu gości skupionych wokół zdenerwowanego niecodziennym wydarzeniem kierownika motelu. Od ulicy dochodziło nadal dudnienie silników samochodów straży

pożarnej, a na podjeździe stał patrolowy samochód policyjny. Na frontonie budynku migotały pomarańczowe odblaski koguta, wirującego na dachu policyjnego auta.

Pan Peck podszedł do policjanta, rozmawiającego z jednym ze strażaków w drzwiach osmalonego pożarem pomieszczenia.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - powiedział. - Ogień został podłożony.

Obaj funkcjonariusze spojrzeli na niego z baczным zainteresowaniem.

- Czy coś panu wiadomo na ten temat? - zapytał strażak.

- Oczywiście!

Pete'owi wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Musimy wkroczyć do akcji - powiedział do Jupitera.

- Ten ogień został podłożony przez Eda Snabela - stwierdził pan Peck. - Zrobił to, żeby dostać się do mojego pokoju i przeszukać go. Właśnie stwierdziłem, że zarówno mój pokój, jak i pokój chłopców zostały przewrócone do góry nogami. Ten człowiek nie ma żadnych skrupułów. Aby zdobyć to, czego pragnie, naraził na niebezpieczeństwo taką gromadę ludzi. Nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby ten budynek spalił się aż do fundamentów!

Kierownik motelu spojrzał na pana Pecka tak promiennie, jakby starszy pan był jakimś wysłannikiem niebios zesłanym na białym obłoku.

- Mówiłem panom! - wykrzyknął. - Mówiłem, że nie używamy tu żadnych zaolejonych szmat. Sprzątaczkę mają co do tego wyraźne polecenia. Nie była to więc nieostrożność, ale podpalenie!

Policjant przestąpił próg pomieszczenia i spojrzał w kierunku okna wbudowanego w przeciwległą ścianę. Było podobne do okna, znajdującego się w łazience pana Pecka. Uchylone do połowy, kołysało się w podmuchach nocnego wietrzyku. Haczyk był wyrwany.

- Od jak dawna okno znajduje się w tym stanie? - spytał policjant.

- Nie wyglądało tak nigdy przedtem - stwierdził kierownik. - Pilnuję, żeby wszystko było zawsze pozamykane i bez żadnych usterek. Nie dopuściłbym, by taki złamany haczyk nie został naprawiony w ciągu godziny albo dwóch.

Policjant odwrócił się do pana Pecka.

- Chciałbym obejrzeć pana pokój - powiedział.

Pan Peck ochoczo poprowadził go do siebie. A potem chłopcy pokazali mu również ich pokój.

Policjant porobił notatki. Po chwili dołączył do niego partner, siedzący aż dotąd w

samochodzie, i zaczął pukać do drzwi, aby zadać parę pytań innym gościom z motelu, którzy wrócili już do swych pokoi. W parę chwil później poinformował swego kolegę, że pokoje pana Pecka i chłopców były jedynymi, do których się włamano.

- To mógł być zwykły złodziej hotelowy - powiedział starszy rangą policjant - ale oni nie stosują zwykle takich metod, a poza tym...

- To był Ed Snabel, powtarzam panu! - wtrącił pan Peck. - Jechał za nami aż od Rocky Beach...

- Od Rocky Beach?

- To takie miasteczko w Kalifornii. Niech pan posłucha, on zaczął się na nas w Pismo Beach, a potem także w Monterey. Jestem pewien, że to on nasłał na nas tych osiłków na motocyklach. Chcę, żeby go aresztowano. On jest niebezpiecznym osobnikiem!

- Rozumiem, proszę pana - powiedział policjant. - Ale dlaczego właściwie on pana ściga? W jakim celu przetrząsnął pana pokój? Czego on tam szukał?

- Mojego wynalazku - odparł pan Peck.

- O! - powiedział z odcieniem podziwu w głosie policjant. - Jakiego wynalazku?

Pan Peck zmarszczył czoło. Na jego ustach pojawił się chytry uśmiezek.

- Nnnie sądzę, abym mógł zdradzić to panom - powiedział. - Nie mogę jeszcze powiedzieć o tym nikomu.

- Rozumiem - stwierdził policjant. - No więc, gdyby opisał nam pan tego człowieka i jego samochód, moglibyśmy...

- Przedtem jechał lincolnem, ale teraz zmienił go prawdopodobnie na coś innego - powiedział pan Peck. - Ale dlaczego właściwie tracimy czas na pustą gadaninę? Trzeba go gonić!

Policjant kiwnął głową i uśmiechnął się uspokajająco, a potem zanotował dane personalne i adres domowy pana Pecka, a także wszystkich chłopców. Zapisał też numery lincolna, podane mu przez Jupe'a. Następnie wrócił wraz ze swym kolegą do samochodu i po chwili nie było po nich śladu.

- Cholerny głupek! - powiedział pan Peck. - On nie ma zamiaru nawet kiwnąć palcem w tej sprawie. Jestem tego pewien.

- Pewno wziął nas za jakichś czubków - oświadczył Pete. - Dziadku, powinniśmy wreszcie zdać sobie sprawę z całej tej sytuacji. Jeżeli Snabel rzeczywiście wlecze się za nami, sami musimy się z nim załatwić!

Panika w parku

W dwa dni później pan Peck, dotarłszy wraz z chłopcami do Livingston w stanie Montana, wyruszył na południe w kierunku Parku Narodowego Yellowstone, położonego już na terenie stanu Wyoming. O tej porze roku na drogach nie było jeszcze wielkiego ruchu. W Yellowstone zobaczyli parę wydobywającą się ze szczelin w ziemi i przyglądali się gejzerom, wyrzucającym gorącą wodę na wysokość przeszło stu stóp. Jak zaczarowani wpatrywali się w sadzawki bulgocącego błota i przestali już nawet liczyć piękne jeziora i wodospady. Pod wrażeniem cudów natury, zgromadzonych na tym wulkanicznym niegdyś obszarze, nasi podróżni na chwilę zapomnieli o swych niepokojach.

W pewnym momencie Pete obejrzał się jednak w kierunku przecinającej park drogi. Widząc to, Bob westchnął ciężko. Pete wydawał się wyczekiwać pojawienia się nadjeżdżającego wroga.

- Od czasu gdy minęliśmy ten zaparkowany samochód koło Saint Helens, nie widzieliśmy właściwie nic podejrzanego - powiedział Bob.

Jupiter doszedł do wniosku, że powinien przerwać wreszcie milczenie, i opowiedział chłopcom o wielkim aucie, które zdążył w ostatniej chwili zobaczyć przed motelem w Longview.

- Nie mam oczywiście żadnego dowodu, że za kierownicą siedział Snabel - przyznał lojalnie.

- Nie jest wykluczone, że Snabel podlewa w tej chwili storczyki w Rocky Beach - powiedział Bob. - A ten pożar w motelu wybuchł całkiem przypadkowo. Może mieliśmy nieszczęście zjawić się tam w momencie, gdy jakiś złodziejaszek postanowił obrobić pokoje, podłożył więc ogień, i...

- Bzdura! - uciął pan Peck. - Facet, który przetrząsnął mój pokój i wasz, nie był zwykłym złodziejaszkiem. Nic nie zaginęło. Na nocnej szafce leżał mój portfel, a on go nawet nie tknął. Nie zabrał też twojego aparatu fotograficznego.

- Nie mógł zabrać aparatu - powiedział Bob - ponieważ był on w samochodzie. Zapomniałem go wziąć do pokoju tego wieczoru.

- Ale moje pieniądze? - nie dawał za wygraną pan Peck. - Słyszałem to i owo o hotelowych złodziejach... Potrafią znaleźć forszę tak prędko, że mogłoby się od tego zakręcić w głowie. No i nigdy nie podkładają ognia, żeby sprowokować zamieszanie. Pracują całkiem inaczej.

Ożywienie, jakiego chłopcy doświadczyli oglądając gejzery, gdzieś się ulotniło. Zaczęły ich znowu niepokoić złe przeczucia.

- Ruszajmy lepiej w drogę - powiedział pan Peck. Także on poczuł że ogarnia go znowu podenerwowanie. - To miejsce jest za bardzo odludne. Trochę mnie to niepokoi.

W normalnych warunkach Pete zbyłby takie twierdzenie jakimś "Och, dziadku, nie przejmuj się

tak!” Dziś jednak nie był całkiem pewien, czy dziadkowi towarzyszy jego zwykła pewność siebie.

Późnym popołudniem zamówili pokoje w motelu znajdującym się w małym miasteczku, niezbyt oddalonym od granicy między stanami Montana i Wyoming. Kiedy tylko bagaże znalazły się w pokojach, pan Peck odjechał buickiem, aby go zaparkować w którejś z bocznych uliczek. Przez resztę wieczoru krążył między motelem i samochodem, aby mieć pewność, że nic mu nie zagraża.

- Rujnujesz w ten sposób celowość zaparkowania samochodu w niewidocznym miejscu - skomentował Pete piątą z kolei wędrówkę pana Pecka do jego auta. - Jeżeli Snabel rzeczywiście depte nam po piętach, może cię zobaczyć w trakcie tego chodzenia tam i z powrotem. A wtedy wystarczy, żeby poszedł za tobą, jak będziesz wracał, i... nasze pokoje zostaną znowu przewrócone do góry nogami.

Argumentacja trafiła panu Peckowi do przekonania i niedługo potem chrapał już smacznie w swoim łóżku. Leżąc bezsennie, Trzej Detektywi zastanawiali się nad przyczyną pożaru w Coeur d'Alene.

- Snabel nie mógł być tym, kto to zrobił - upierał się Pete. - Chyba że ma jakiś magiczny sposób, żeby pozostawać niewidocznym. W przeciwnym razie musielibyśmy się zorientować, że wlecze się za nami jakiś samochód. Jakikolwiek!

- Może wynajął helikopter i śledzi nas z powietrza - zasugerował Bob.

- Nie wiesz przypadkiem, skąd mógłby wytrasnąć helikopter? - zaproponował Pete. - A poza tym helikoptery robią dużo hałasu. Zauważylibyśmy go.

Jupe usiadł nagle na łóżku.

- Zadzwońmy do niego! - oświadczył triumfalnym głosem. - Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Możemy przecież zadzwonić do niego do domu w Rocky Beach; gdyby podniósł słuchawkę, będziemy mieć pewność, że to wszystko to tylko przypadkowy zbieg okoliczności i że nie mamy żadnych powodów do niepokoju.

- Znasz jego numer? - spytał Bob.

- Oczywiście, że nie, ale jeżeli jego telefon nie jest zastrzeżony, dowiemy się w informacji telefonicznej.

Nie zwlekając Jupe sięgnął po słuchawkę telefonu, stojącego na nocnej szafce koło jego łóżka. W minutę później słuchał już sygnału telefonu, dzwoniącego w domu Edgara Snabela.

- Jeżeli już śpi, to będzie wściekły, że go obudziliśmy - zauważył Bob.

- W tej chwili w Rocky Beach jest o godzinę wcześniej - wyjaśnił Jupe. - Znajdujemy się w strefie czasowej Rocky Mountain.

Po trzecim dzwonku dał się słyszeć dźwięk jak przy podnoszeniu słuchawki. Nastąpiła chwila

ciszy, a potem jeszcze jedno kliknięcie.

- Bardzo przepraszam - odezwał się nagrany na taśmę głos. - Mówi Edgar Snabel. W tej chwili nie mogę podejść do telefonu. Proszę zostawić swoje nazwisko i telefon, a ja oddzwonię tak szybko, jak tylko będę mógł. Proszę zostawić swoje dane po usłyszeniu sygnału. - W chwilę potem rozległ się świdrujący w uszach dźwięk.

- A niech to gęś kopnie! - powiedział Jupe i odłożył słuchawkę. - On ma automatyczną sekretarkę.

- Tak więc nadal wiemy tyle, co i do tej pory - stwierdził Pete.

- Jutro rano możemy zadzwonić do niego jeszcze raz - nie poddawał się Jupe. - Być może sam podniesie wtedy słuchawkę.

Kiedy jednak Jupe wykręcił jego numer o ósmej rano, znowu włączyła się automatyczna sekretarka, toteż chłopcy zrezygnowali z dalszych prób.

Ruszając w dalszą drogę czuli się już znużeni całą tą sprawą. Dzień był jednak jasny i piękny. Błękitne niebo z rzadka tylko znaczone było białymi plamkami małych obłoczków. Zaczęli przemierzać ciągnące się przez wiele mil pastwiska Wyomingu, na których pasły się stada bydła. Kiedy zbliżali się do Rapid City w Południowej Dakocie, pan Peck oświadczył, że nie zamierza dopuścić, aby Snabel zepsuł im całe wakacje.

- Na przekór temu marnemu kurduplowi postaramy się dobrze zabawić - powiedział. - Nie pominiemy żadnej rzeczy, która zasługuje na obejrzenie.

Jego słowa podniosły chłopców na duchu, toteż podczas lunchu w Rapid City cała trójka trzęsa się od śmiechu. Chłopcy starali się przebyć kolejny etap drogi, prowadzącej na południe ku Mount Rushmore, ani razu nie oglądając się za siebie. Jupe zauważył jednak, że pan Peck spogląda we wsteczne lusterko częściej, niż by to było absolutnie konieczne ze względu na bezpieczeństwo jazdy.

Droga do widokowego tarasu na Mount Rushmore prowadziła ciągnącymi się przez wiele mil ostrymi serpentynami. Ostatnim już, płaskim jej odcinkiem dojechali na parking, gdzie zostawili samochód. Szeroką aleją, wzdłuż której powiewały na wietrze flagi wszystkich pięćdziesięciu stanów, ruszyli pieszo w stronę szczytu. Mieli do pokonania około ćwierci mili łagodnej wspinaczki. Z tarasu roztoczył się przed nimi widok na górujące nad porośniętymi sośniną stokami gigantyczne twarze czterech wielkich prezydentów, wyrzeźbione w kamieniu tworzącym skalne urwiska Południowej Dakoty.

- Ale bomba! - wyrwało się Pete'owi.

Jupiter miał ze sobą drukowany przewodnik.

- Kolosalne głowy Waszyngtona, Jeffersona, Lincolna i Theodora Roosevelta zostały wykonane pod kierunkiem Gutzona Borgluma - przeczytał głośno. - Każda z czterech twarzy ma sześćdziesiąt

stóp wysokości.

Pete zaśmiał się zduszonym chichotem.

- Może kiedy ten rzeźbiarz był mały, mamusia powiedziała mu, żeby urósł i zrobił coś naprawdę wielkiego, żeby mogła być z niego dumna.

- Jakie inteligentne spostrzeżenie!- odezwał się ktoś stojący za plecami chłopców.

Pete obejrzał się. To samo zrobił pan Peck.

- Czy to pańscy wnukowie? - spytała jakaś otyła kobieta w zbyt obcisłych dżinsach, uśmiechając się promiennie do pana Pecka.

- Tylko jeden - odpowiedział pan Peck.

- Dzieci są fenomenalne! - zaśmiała się chrapliwie kobieta. - Mają takie oryginalne, śmiałe pomysły!

Pan Peck obrzucił chłopców pytającym spojrzeniem, jakby próbował odkryć w nich jakieś objawy owej oryginalności. Pete nachmurzył się, a Bob poczerwieniał na twarzy.

Jupiter, który nie cierpiał, żeby nazywano go dzieckiem, rzucił obcej kobiecie surowe spojrzenie. Z wyglądu nieznajoma mogła mieć niecałe sześćdziesiąt lat. Ubrana była w bluzkę z jaskrawoczerwonymi różami, wyhaftowanymi w górnej części bufiastych rękawów. Ten sam odcień miały jej kolczyki i warstwa szminki na ustach. Uśmiechnęła się przymilnie i zrobiła krok czy dwa w kierunku pana Pecka.

- Ubolewam tylko - powiedział z nutką żalu w głosie - że sama nigdy nie miałam dzieci. Wszyscy mi mówią, że powinnam była je mieć. "Bessie - powtarzają mi bez przerwy - byłabyś cudowną mamą". Pozostaje mi więc tylko cieszyć się dziećmi innych mam i tatusiów.

Pan Peck poczuł, że krępuje go spoglądanie w jej oczy z tak bliskiej odległości. Próbował zrobić krok do tyłu i spostrzegł, że nieznajoma chwyciła go za rękaw. Jej gładkie paznokcie połyskiwały lakierem o takim samym odcieniu, jak szminka do ust.

Pete spojrział na zegarek i odchrząknął.

- Dziadku, chyba musimy już iść - powiedział. - W motelu czeka na nas babcia.

Małe kłamstewko okazało się skuteczne. Sam Jupiter nie wymyśliłby nic lepszego. Z twarzy kobiety znikł nagle promienny wyraz. Wypuściła z dłoni rękaw pana Pecka i odsunęła się od niego.

- Och, kochani! - powiedziała. - Nie śmiem was zatrzymać, choć rozmawiało mi się tak miło.

- Ja też żałuję - powiedział pan Peck, poczym posłał jej szarmancki uśmiech i ruszył w stronę

parkingu.

Chłopcy otoczyli go ciasno niczym członkowie osobistej ochrony, zabezpieczający przed atakiem z flanki.

- Dziadku, jesteś po prostu niesamowity! - zapiszczał z podziwem Pete, kiedy znaleźli się w samochodzie, z dala od niebezpieczeństwa. - Ta dama chciała po prostu rzucić się na ciebie!

Pan Peck wyszczerzył zęby i wystawił pierś do przodu.

- Twój staruszek ma jeszcze w sobie trochę życia! - stwierdził chełpliwie.

Pokonawszy kręte serpentyny, wrócili na główną drogę, prowadzącą do położonego niedaleko stanowego rezerwatu Custer.

- Żyją tu jedne z największych na świecie stad bizonów - poinformował kolegów Jupe. - Ja sam oglądałem tylko bizona w ogrodach zoologicznych. Nigdy ich nie widziałem żyjących dziko, na wolności.

- To będzie kawałek naturalnego życia - powiedział pan Peck. - Jupe, połknąłeś ten przewodnik jeszcze przed wyjazdem, czy też uczysz się teraz nocami na pamięć kolejnych partii?

- Jupe ma w głowie taką czarną dziurę - powiedział Bob. - Jak już coś do niej wpadnie, zostaje na zawsze.

- Chciałbym móc powiedzieć coś takiego o sobie - stwierdził z żalem pan Peck. - Miewałem takie dni, że gdyby moje nazwisko nie było wypisane w prawie jazdy, nie pamiętałbym, jak się nazywam.

- To dlatego, że musisz ciągle na nas uważać, żeby nie uronić żadnego z naszych śmiałych i oryginalnych pomysłów - powiedział Pete. - Tych, o których wspomniała tamta dama.

- Święta prawda - odparł pan Peck. - Ale gdyby wam strzeliło do głowy coś jeszcze bardziej śmiałego, zostawię was przy drodze i będziecie maszerować do Custer na piechotę.

Zjechawszy całym pędem ze wzgórza, auto powoli minęło bramę wjazdową rezerwatu.

Tuż przy drodze zobaczyli stado dzikich osłów. Śmieszne zwierzaki śmiało podeszły do okien samochodu, klapiąc po asfaltowej nawierzchni małymi, delikatnymi kopytkami.

- Zdaje się chcą, żeby je nakarmić - powiedział Pete.

- Okropność! - wybuchnął pan Peck. - One prawdopodobnie żywią się wyłącznie jakimiś przypadkowymi odpadkami. Mam nadzieję, że przynajmniej bizona nie będą tak zebrać o jałmużnę.

Bizona nie było jednak w pobliżu. Ogromne, kudłate zwierzęta pasły się nieco dalej, w głębi rezerwatu i wcale nie zwróciły uwagi na zatrzymujący się na drodze samochód pana Pecka.

- Kiedyś było ich tak dużo, że całe równiny były od nich czarne - powiedział Jupiter. - Często spacerowały po torach kolejowych i zmuszały pociągi do wielogodzinnych postojów.

- A teraz zostały już prawie tylko te tutaj - stwierdził pan Peck. - Oto do czego zdolni są ludzie, kiedy wezmą się do mordowania innych stworzeń.

Bob zabrał się do robienia zdjęć.

- Gdybym mógł, podszedłbym bliżej - powiedział. - Z tej odległości one wyglądają jak kamienie rozsypane w wysokiej trawie.

- Chyba zwariowałeś! - ostrzegł go Pete. - Masz pojęcie, jakie one są niebezpieczne?

- To prawda - przytaknął pan Peck. - Każdego roku jakiś zatracony pomyleniec próbuje pozować do zdjęcia w pobliżu któregoś z nich i kończy pod rogami. To są dzikie zwierzęta, a dzikie zwierzęta są zawsze niebezpieczne.

Minąwszy bizona, znaleźli miejsce, w którym mogli trochę się odprężyć. Pan Peck zaparkował auto koło drogi.

- Mam już dość siedzenia za kierownicą - powiedział. - Chciałbym rozprostować nogi i pospacerować parę minut. - Mówiąc to wyciągnął rękę w kierunku ścieżki, prowadzącej na porośnięte sosnowym lasem wzgórze. - Czy któryś z was ma ochotę zobaczyć razem ze mną, co znajduje się na końcu tej ścieżki?

- Jeżeli ścieżka nie kończy się zbyt daleko... - powiedział Bob.

Pan Peck wyjął kluczyk ze stacyjki. - Idziesz z nami? - zwrócił się do Jupitera.

- Raczej nie - odpowiedział Jupiter. - Wolę tu zostać, żeby spokojnie przemyśleć parę rzeczy.

Pan Peck wzruszył ramionami.

- Rób, jak chcesz - powiedział, a potem ruszył w stronę wzgórza.

Pete i Bob pospieszyli za nim. Po paru minutach zielona gęstwina pochłonęła całą trójkę. Jupe wysiadł z auta i zaczął nasłuchiwać.

Jego uszu doszły odgłosy nadjeżdżającego drogą samochodu. Spojrzał w tę stronę prawie pewien, że zobaczy szarego lincolna. Zza zakrętu wyłonił się jednak nie lincoln, ale kempingowy busik z jakimś starszym panem za kierownicą. Mijając Jupe'a, mężczyzna pomachał mu ręką.

Jupe uśmiechnął się. Uświadomił sobie, że dał się ponieść własnej wyobraźni. Nikt ich nie ścigał. Gdyby Snabel jechał wciąż za nimi, musiałby przynajmniej przez część drogi starać się mieć ich w zasięgu wzroku. A oni przez całe setki mil, mimo wzmożonej czujności, nie zauważyli nic podejrzanego.

Zaćwierkał jakiś ptak siedzący na drzewie tuż nad głową Jupe'a, a potem odleciał z trzepotem skrzydeł. Jupe doszedł do wniosku, że czekanie przy drodze zbytnio go już znudziło. Kiedy pan Peck odchodził z pozostałymi chłopcami, czuł, że powinien tu zostać, aby pilnować buicka. Co za głupi pomysł! Gdyby się pospieszył, mógłby piorunem dopędzić resztę paczki.

Nie tracąc czasu, pobiegł wąską ścieżką.

W chwilę potem był już w sosnowym lasu. Kiedy na pierwszym zakręcie ścieżki obejrzał się za siebie, drogi nie było już widać.

Usłyszał jednak szum opon nadjeżdżającego samochodu. Nastąpiła cisza, przzerwana odgłosami otwierania i zamykania drzwi.

Najwyraźniej jakieś auto zjechało z drogi i zatrzymało się koło buicka. Po chwili wydało mu się, że znów słyszy samochód.

Jupe poczuł, że serce zaczyna mu walić przyspieszonym rytmem. Strach zjeżył mu włosy na głowie. Zszedł ze ścieżki i rozejrzał się dokoła. Osoba, która wysiadła z samochodu zaparkowanego tuż koło buicka, zaczęła wspinać się tą samą ścieżką. W przypiływie panicznego strachu Jupe uświadomił sobie, że musi się ukryć.

Na ocienionym zieloną gęstwą zboczku panował półmrok. Między drzewami nie było prawie żadnych krzaków. O parę kroków na prawo od ścieżki dostrzegł jednak kępę jakichś niskich krzewin, przypominających wrzosy. Jupe rzucił się ku nim i przyłgnał płasko do ziemi, a potem spojrzał przez gałązki na ścieżkę.

Nie widział twarzy nadchodzącej osoby. W jego polu widzenia ukazały się tylko jej stopy. Usłyszał świst łapanych ciężko oddechów. Nieznajomy zatrzymał się, zwrócony twarzą wprost ku wijącej się do góry ścieżce. Miał na sobie brązowe tenisówki i dzinsy. Jupe miał wrażenie, że musi to być ktoś niezbyt wprawiony do chodzenia na piesze wędrowki. Tenisówki wyglądały jak nowe, także dzinsy nie utraciły jeszcze pierwotnej sztywności. Przez dłuższą chwilę stał bez jednego ruchu.

Dlaczego nie szedł dalej? Czyżby coś go zaniepokoiło? Może Jupe zostawił jakiś ślad, zbiegając ze ścieżki?

Jupe uświadomił sobie nagle, że jest zupełnie odsłonięty. Gdyby tylko nieznajomy spojrzał w prawo, z pewnością by go dostrzegł.

Coś trzasnęło w gałęziach drzew po lewej stronie ścieżki i mężczyzna odwrócił się w tamtą stronę, szukając wzrokiem źródła hałasu.

Jupe uniósł się błyskawicznie na kolanach i rękach, aby lepiej przyjrzeć się nieznajomemu.

Serce zamarło mu w piersi.

Przysadzisty mężczyzna stojący na ścieżce trzymał w ręku rewolwer!

- Joo - hoo - hoo! - zawołał nagle jakiś głos.

Mężczyzna spojrział w dół, ku drodze. Jupe mógł teraz przyjrzeć się jego twarzy, ocienionej szerokim rondem słomkowego kapelusza. Nie miał już żadnych wątpliwości. Na ścieżce stał Snabel.

Jupe znowu przylgnął do ziemi. Poczuł, że zimny pot zlewa mu czoło. Czy powinien próbować ucieczki? W żadnym wypadku. Snabel z pewnością dostrzegłby go już w chwili podnoszenia się z niepewnej kryjówki pośród rzadkiej krzewiny.

- Zapomniałeś o mnie? - ozwał się jakiś głos od strony dolnych partii ścieżki. Był to głos kobiety, dochodzący z bliskiej już odległości. Jupe znał ten głos. Należał do Bessie, kobiety, która zagabywała pana Pecka na szczycie Mount Rushmore. - Już myślałam, że nigdy cię nie odnajdę - powiedziała Bessie. - Znikłeś jak kamfora zaraz po lunchu!

Jupe pomyślał, że Snabel musiał w tym momencie schować rewolwer do kieszeni, aby ukryć go przed jej wzrokiem. Usłyszał Snabela mamrocącego, że musiał zatankować benzynę, a potem znowu głos kobiety zachwyconej tym, że go odnalazła. Bessie zaproponowała swemu towarzyszowi, że, gdyby chciał trochę pospacerować, ona chętnie dotrzyma mu towarzystwa. Pan Snabel ostro odmówił, stwierdzając zaraz potem, że nałykał się już tyle świeżego powietrza, iż wystarczy mu na cały dzień. Następnie oboje ruszyli z powrotem do swych samochodów. Głos paplającej coś bezustannie kobiety zaczął się oddalać.

Jupe uniósł głowę i popatrzył za nimi.

Kobieta trzymała pod rękę stąpającego sztywno Snabela, który poruszał się tak flegmatycznie i obojętnie, jakby był mechanicznym robotem. Jupe'owi przyszło do głowy, że Snabel musiał być wściekły na siebie za to, że pozwolił się zdominować i wziąć w jasyr przedstawicielce niewieściego rodu.

Niedobrana para rozplynęła się w leśnej gęstwinie. W minutę czy dwie później Jupe usłyszał odgłos zapuszczania silnika jednego, a potem drugiego samochodu, wreszcie szum opon obu odjeżdżających aut.

Rozejrzał się za jakimś skalnym odłamkiem, na którym dałoby się przysiąc, aby pozwolić odpocząć wciąż jeszcze trzęsącym się kolanom. Nie mógł się doczekać nadejścia kolegów i pana Pecka. Miał tyle do opowiedzenia!

Rozdział 11

Szaleńczy manewr

Kiedy pół godziny później nadeszli wreszcie, Jupe siedział sobie spokojnie koło ścieżki.

- Straciłeś kapitalną okazję do rozprostowania kości - powiedział Pete.

Bob zmarszczył brwi.

- Chyba ci się coś przytrafiło - powiedział. - Wyglądasz tak... dziwnie.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że on będzie nas gonił z rewolwerem w garści - odparł Jupe, a potem potrząsnął głową, jakby chciał przepędzić zbyt natrętną osę. - To był prawdziwy szok. A przy okazji, jesteśmy panu winni porządne przeprosiny - dodał zwracając się do pana Pecka.

- Naprawdę? Z jakiego powodu?

- Pojawił się tu Snabel, i to z rewolwerem. Aż do tej pory miałem wątpliwości co do pana podejrzeń. Ale miał pan słuszość. On rzeczywiście depce nam po piętach i jeżeli tylko trafi mu się okazja, narobi nam niezłego bigosu.

Jupe opowiedział dokładnie o tym, co zobaczył pół godziny wcześniej na ścieżce. Pod koniec jego opowieści pan Peck zaczął chichotać.

- No cóż, ta kobieta uwielbia zadawać się z nieznajomymi. Coś mi się zdaje, że Snabel nie wyrwie się tak prędko z jej rączek.

Pete wlepił w dziadka zdumione spojrzenie. Pan Peck dusił się po prostu ze śmiechu.

- Ależ, dziadku, to wcale nie jest zabawne - powiedział Pete. - On mógł nas wszystkich pozabijać. A teraz, skoro nie mamy już co do tego żadnych wątpliwości, powinniśmy może wezwać policję albo szeryfa, czy jakąś straż, która działa w tej okolicy.

Pan Peck pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Pamiętasz zachowanie tego funkcjonariusza po pożarze motelu, kiedy informowałem go o Snabelu? Myślał pewno, że jestem zwykłym wariatem. Sam powiedziałaś wtedy, i miałaś rację, że bez względu na to, co by się nie wydarzyło, musimy załatwić się z tym sami. A teraz nie ma co tracić czasu na pustą gadaninę. Jedziemy dalej!

Urwał na chwilę i wziął głęboki oddech, jakby dopiero teraz po raz pierwszy smakował czyste powietrze leśnego pustkowia.

- Zdaje się, że czuję się teraz dużo spokojniejszy - dodał. - Mamy wreszcie pewność. Muszę wam powiedzieć, że chwilami zastanawiałem się już, czy nie cierpię na jakieś starcze omamy.

Jupiter i Pete wymienili zdziwione spojrzenia. Pan Peck żwawo ruszył do samochodu. Chłopcy pospieszili za nim. O zmroku byli z powrotem w Rapid City, gdzie wynajęli pokoje w miejscowym motelu. Po prostej kolacji, złożonej z hamburgerów zjedzonych w najbliższym barze szybkiej obsługi, pan Peck położył się do łóżka. Po chwili ściany motelu wibrowały już jego triumfalnym chrapaniem.

Jupe leżał gapiąc się w sufit.

- Jak on to robi? - zastanawiał się głośno.

- Masz na myśli Snabela czy dziadka? - spytał Pete.

- Snabela - odparł Jupe. - Sprawia takie wrażenie, jakby był zdolny spaść na nas jak jastrząb bez względu na to, gdzie byśmy nie pojechali.

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi, tak jakby chłopcy nie próbowali nawet jej znaleźć. Wkrótce potem cała trójka zapadła w sen.

Kiedy następnego ranka ruszyli w dalszą drogę, towarzyszyło im wewnętrzne napięcie. Bezustannie obserwowali drogę przed sobą, często też oglądali się do tyłu. Kiedy zatrzymali się, aby popatrzeć z widokowych tarasów na fantastyczne formacje skalne Południowej Dakoty, nie oddalali się zbyt od samochodu. Szczególnym niepokojem napełniały Pete'a przedziwne kształty skał i głazów. Czuł się tak, jakby znajdował się na wrogim terytorium, na którym Snabel mógł się niespodziewanie wychylić zza jakiegoś krzaka albo głazu i otworzyć do nich ogień z morderczej broni.

- Dziadku, co to jest za wynalazek, na zdobyciu którego tak strasznie mu zależy? - zapytał Pete po raz setny może od początku podróży.

- Chodzi o coś bardzo doniosłego - odparł z poważną miną pan Peck. - Wiesz, Pete, lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział, na czym on polega.

Minąwszy kolejną serię skalnych dziwołęgów, wjechali na teren, na którym znajdowało się siedlisko stepowych psów. Ziemia podziurawiona była wejściami do nor. Psy biegały od jednej do drugiej albo wygrzewały się na słońcu przed własnymi siedzibami.

Dochodziła jedenasta, kiedy trasa pełnego niezwykłych widoków objazdu skończyła się. Wrócili główną międzymiastową drogą i szparko pomknęli na wschód. Krajobraz był teraz zupełnie płaski, a droga, wytyczona prosto jak strzeł, z rzadka tylko urozmaicona była jakimś zagłębieniem terenowym czy łagodnym zakretem. Przed nimi i za nimi jechało mnóstwo samochodów, nie dostrzegli jednak wśród nich żadnego lincolna. Pan Peck zdrowo naciskał na pedał gazu, bacznie przyglądając się twarzom kierowców wyprzedzanych samochodów.

Po pewnym czasie zwolnił pozwalając, aby tym razem wyprzedzali go inni. Nie zauważył nawet śladu po Edgarze Snabelu.

- Niczego nie pojmuję - powiedział. - Z pewnością nie ma go przed nami na tej drodze, ale nie widać go także i z tyłu. Nie wyprzedził nas ani my nie wyprzedziliśmy jego, ale postawiłbym ostatniego dolara o zakład, że on tu gdzieś jest. Jak on to robi?

Pete, prowadzący bacznią obserwację przez tylne okienko, zeszywniał nagle.

- Motocykle! - krzyknął. - Ej, dziadku, czy to przypadkiem nie ten sam gang, który widzieliśmy w Crescent City?

Pan Peck spojrział we wsteczne lustro.

- Jesteśmy bardzo daleko od Crescent City, ale oni może jadą na jakieś spotkanie tego rodzaju gangów. Słyszałem, że te typki organizują sobie takie pikniki.

Motocykliści jechali w wojskowym szyku. Tworzyli dwie równe kolumny i siedzieli wyprostowani, patrząc przed siebie. Mieli tak samo złowieszczy wygląd jak banda z Crescent City i, podobnie jak tamci, mieli na sobie nabijane stalowymi ćwiekami czarne skóry.

I jard po jardzie dopędzali buicka.

- Dziadku, nie mógłbyś trochę przyspieszyć? - odezwał się Pete.

- Nie uciekamy przecież przed nikim - odparł pan Peck.

Bob uśmiechnął się szeroko. Pan Peck z pewnością nie był wolny od przywar, miał jednak także dość determinacji i odwagi. Chłopcy zaczęli wierzyć w to, że poradzi sobie w każdej sytuacji.

- Nie widzę żadnych powodów do przypuszczeń, że ci faceci mają coś przeciwko nam - powiedział pan Peck. - Nawet jeśli są to ci sami, co w Crescent City, zapomnieli o nas do tej pory.

Uszu chłopców dobiegło głośne dudnienie ciężkich motorów. Zobaczyli, że dwaj pierwsi motocykliści odbijają w lewo, aby ominąć i wyprzedzić buicka.

- O rany! - jęknął Pete. - Tam jedzie ten sam dryblas, który chciał cię rozjechać na nabrzeżu!

Pan Peck prychnął lekceważąco.

- Po czym go poznałeś? Przecież te jego pejsy zasłaniają mu całą twarz.

Wyprzedzając buicka, motocyklista odwrócił ku niemu głowę. Na nieszczęście także pan Peck popatrzył w tym momencie na niego. Ich spojrzenia spotkały się. Zaskoczony motocyklista wybałuszył ze zdumienia oczy i krzyknął. Chłopcy zobaczyli, że szczerzy zęby w uśmiechu. A potem wrzasnął coś do swych kompanów i wskazał ręką na pana Pecka i chłopców.

- No i mamy ich na karku - powiedział Bob. - Co teraz będzie?

Motocykle zamknęły buicka w ciasnym kole i zaczęły zwalniać.

Pan Peck nacisnął na pedał gazu i buick skoczył do przodu. Jadący przed nim motocykliści nie usunęli się jednak na bok. Z wyzywającą obojętnością, wyprostowani na siodełkach swych maszyn, posuwali się nie zmieniając kierunku jazdy, jakby chcieli sprowokować pana Pecka do spowodowania kolizji.

- Są pewni, że ich nie rąbnę, i wcale się nie mylą - powiedział przez zaciśnięte zęby pan Peck, a potem nacisnął lekko na pedał hamulca i zaczął zwalniać.

Popatrzył w lewo i leciutko odbił w tym kierunku. Jadący tuż obok buicka motocyklista ustąpił. Pan Peck ponowił manewr i motocyklista odsunął się jeszcze bardziej w lewo. Dały się słyszeć jakieś wściekle krzyki, ale było już za późno. Buick znalazł się na pasie szybkiej jazdy, a motocyklista, który nie miał odwagi przeciwstawić się temu, został zepchnięty do tyłu.

- Widzicie to? - zapytał pan Peck, wskazując chmurę dymu, która snuła się nad przylegającym do drogi pastwiskiem. Ktoś wypalał tam suche trawy, a ponieważ prawie nie było wiatru, dym włókł się ciężko tuż przy ziemi, wypełzając aż na drogę. Za chwilę zanurzą się razem z wściekle przekrzykującymi się prześladowcami w czarnym obłoku. - Jak tylko wpadniemy w ten dym, trzymajcie się mocno, chłopaki! - rzucił szybko pan Peck.

Nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Ogarnęły ich nagle kłęby dymu. W jednej chwili droga gdzieś znikła, a z nią i motocykliści. Znaleźli się w samym środku szarej, skotłowanej, nieprzeniknionej masy. Pan Peck gwałtownie skręcił kierownicą w lewo.

Samochód wyskoczył z jezdni. Przez ułamek sekundy szybował w powietrzu, a potem z piskiem opon szurnął po ziemi, wpadając w płytki rów, biegnący środkiem pasa oddzielającego obie jezdnie. Przez moment Pete bał się, że się przewróci, i z gardła wyrwał mu się zduszony krzyk. Buick wyhamował jednak bezpiecznie i zatrzymał się przodem w kierunku zachodnim.

Pan Peck odetchnął głęboko, włączył jedynekę, nacisnął na pedał gazu i poczuł, że koła obracają się w miejscu. Szarpnęło do przodu i w chwilę potem auto, ślizgając się i podskakując na krawędzi rowu, wyskoczyło na pas przylegający do jezdni prowadzącej na zachód. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem dymu, Pete obejrzał się przez ramię. Pas szybkiego ruchu był wolny.

- Udało się! - krzyknął pan Peck, a potem odbił kierownicą w prawo. Auto przetoczyło się przez krawężnik na jezdnię, a potem nabrało szybkości i włączyło się bezpiecznie do ruchu.

- Dziadku, jesteś fantastyczny! - wrzasnął Pete.

- Nie ciesz się przed czasem - ostrzegł go pan Peck. - Te typki w mig zorientują się, gdzie znikło nasze auto.

Przed maską samochodu ukazał się odległy o kilkaset jardów zjazd z autostrady i pan Peck skorzystał z tej szansy. Znalazłszy się na dole, skręcił w drogę, prowadzącą prosto ku kępie drzew, widocznej o jakieś pół mili dalej.

- Zobaczymy teraz - powiedział, a potem zjechał z drogi i zatrzymał się w cieniu drzew. Buick był teraz kompletnie niewidoczny z głównej drogi.

- Tu na pewno nas nie zauważą - stwierdził z nadzieją w głosie. - Będą nas wypatrywać na autostradzie, daleko przed sobą.

Jego oddech był szybszy niż zwykle, ale patrząc w kierunku autostrady, uśmiechał się szeroko.

Trzeba było zaledwie minuty, aby pędzący z grzotem motorów ku zachodowi motocykliści ukazali się w polu widzenia. Jechali znowu zwartym szykiem i bez wątpienia bacznie omiatali

wzrokiem drogę, rysującą się przed nimi aż po horyzont.

- Pieskie nasienie! - powiedział pan Peck. - Boję się, że mają w zanadru jeszcze niejedną brzydką niespodziankę.

Dudnienie motorów zaczęło się oddalać. Motocykliści rozplynęli się wkrótce w oddali.

Nagle Jupiter wskazał ręką ku autostradzie.

- Popatrzcie no tam! - powiedział.

Na autostradzie ukazał się jadący ku wschodowi szary lincoln. W chwilę po zauważeniu go przez Jupe'a zaczął zwalniać.

- To już szczyt wszystkiego - stwierdził pan Peck.

- Ejże, to wcale nie musi być Snabel - odezwał się Bob. - Może to jest ktoś całkiem inny.

- A jeśli to jest Snabel, to niech sobie jedzie. Tym razem przed nami, dla odmiany - powiedział Pete.

Lincoln nie pojechał jednak dalej. Wyhamował i zjechał na pobocze, zatrzymał się. Znajdował się teraz dokładnie naprzeciwko miejsca, z którego obserwowali go chłopcy i pan Peck!

Rozdział 12

Na pomoc!

Lincoln stał bez ruchu, migając światłami awaryjnymi.

- A niech to wszyscy diabli! - rzucił ze złością pan Peck. - Znowu wstrzelił się w nas bez pudła! To jest oczywiście Snabel, który dokładnie wie, gdzie jesteśmy. Jak on to robi?

Wyglądając ostrożnie zza zielonej zasłony, zobaczyli nadjeżdżający autostradą policyjny patrol. Auto zatrzymało się na poboczu tuż za lincolnem. Wysiadł z niego umundurowany funkcjonariusz. Snabel uchylił drzwi swego samochodu i powiedział do niego parę słów, a potem wysiadł i obaj podeszli do maski. Snabel uniósł ją i pochylił się nad silnikiem.

- Udaje głupiego - stwierdził Jupe. - Chce wmówić temu gliniarzowi, że ma jakieś kłopoty z samochodem. No, dobra - dodał wyskakując z samochodu. - Korzystając z tego, że jest przynajmniej na chwilę przygwożdżony na autostradzie, dowiemy się, jak on to robi.

- Naprawdę? - zapytał Pete. - A niby skąd?

- Pan Peck powiedział już wszystko - wyjaśnił Jupe. - Znajduje nas bez pudła bez względu na to, gdzie jesteśmy, i rzeczywiście, sprawy przedstawiają się dokładnie tak. W naszym samochodzie musi być zamontowany jakiś nadajnik, który wysyła sygnały. A on je odbiera i dzięki temu wie, gdzie jesteśmy, może też nas śledzić, pozostając przez cały czas poza zasięgiem naszej widoczności. Tylko tak można wytłumaczyć tę jego nieomyślność!

Nie zwlekając ani sekundy, cała czwórka wyskoczyła z samochodu. Pan Peck otworzył pokrywę bagażnika. W jednej chwili wszystkie walizki znalazły się na ziemi i zostały dokładnie przeszukane. Chłopcy nie zapomnieli zajrzeć za oparcia siedzeń, a Jupe wczołgał się przed przednie fotele i obmacał przestrzeń pod tablicą rozdzielczą.

W końcu Bobowi udało się znaleźć sprytne urządzenie. Położył się pod samochodem i wymacał małe, plastikowe pudełko, nie większe od kostki mydła, przytwierdzone klejącą taśmą do zbiornika paliwa.

- Załatwimy się z tym krótko! - powiedział pan Peck, podnosząc z ziemi spory kamień.

- Nie, niech pan zaczeka! - zawołał Jupe, biorąc pudełko do ręki, a potem zakręcił się w miejscu i unosząc się na czubkach palców, wcisnął pudełko w rozwidlenie konarów jednego z drzew. - W ten sposób zachęcimy go, żeby został tu dłużej i pokręcił się trochę po okolicy.

Trzej Detektywi wrzucili walizki z powrotem do bagażnika. Pan Peck uruchomił silnik i w chwilę potem buick ruszył w dalszą drogę. Tym razem, aby oddalić się od autostrady, pojechali ku północy wyboistą polną drogą, prowadzącą przez rozległe pastwiska.

Bob przez cały czas wyglądał przez tylne okienko. Zanim autostrada na dobre znikła mu z pola widzenia, dojrzał na niej jeszcze Snabela tłumaczącego coś gliniarzowi ze stanowej drogówki, który wpatrywał się w lincolna, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie.

Po pewnym czasie natrafili na zakurzoną, lokalną drogę, wiodącą ku wschodowi przez małe miasteczka i osiedla. Między nimi ciągnęły się pastwiska, na których tu i ówdzie pasły się stada bydła i koni. W miejscowości Pierre w Południowej Dakocie przekroczyli rzekę Missouri, za którą napotkali jeszcze rozleglejsze pastwiska, przedzielane miasteczkami i osadami.

Na noc zatrzymali się w małym zajeździe, wynajmującym pokoje ze śniadaniem w miasteczku położonym o niecałe pięćdziesiąt mil od granicy stanu Minnesota. Na miejscu był zamknięty garaż, w którym pan Peck mógł zostawić samochód na noc.

Zostali obsłużeni przez uśmiechniętą, miłą w obejściu kobietę, która paplała bez przerwy, nie czekając zresztą na żadną odpowiedź.

Pani Leonard przygotowała im wspaniałą kolację. Następnego ranka, po prawdziwie wiejskim śniadaniu, ruszyli dalej, orzeźwieni łagodnym, wilgotnym powietrzem, nie skażonym wyziewami wielkich miast.

Większą część stanu Minnesota przemierzali bocznymi drogami z dala od autostrady. Wrócili

na nią dopiero w Rochester i szparko popędzili na wschód do leżącego już na granicy z Wisconsinem miasta La Crosse. Pan Peck był we wspaniałym nastroju.

- Czy Snabel tego chce, czy nie chce, obejrzymy teraz La Crosse - oznajmił chłopcom. - Tu urodziła się i wychowała babcia Pete'a. Jest to jedno z najładniejszych miast, jakie tylko można sobie wyobrazić.

- Odkąd pozbyliśmy się tego sprytnego urządzonka, które zafundował nam Snabel, nie mamy się chyba czego obawiać - stwierdził z przekonaniem Pete.

- Ten Snabel to rzeczywiście szczwany lis - powiedział pan Peck. - On musi mieć jakieś zawodowe przygotowanie szpiegowskie. Od lat pewno montuje w moim domu jakieś pluskwy. Nic dziwnego, że wie o tylu rzeczach, które w ogóle nie powinny go interesować.

Jeszcze nie tak dawno Jupiter uznałby tego rodzaju stwierdzenie za grubo przesadzone. Teraz jednak i on dochodził do podobnych przekonań. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Snabel rzeczywiście jechał za nimi przez cały kraj i można było przypuszczać, że chce zawładnąć wynalazkiem Pecka, bez względu na to, czego by on nie dotyczył.

No i gdziekolwiek by nie był ukryty. Ta ostatnia sprawa nie dawała Jupe'owi spokoju. Przeszukali przecież cały samochód i nigdzie nie znaleźli nawet śladu jakiegoś niezwykłego prototypu. Czy pan Peck trzymał ten swój skarb po prostu w kieszeni? Albo tylko w głowie? Ale jeśli był to pomysł przechowywany w głowie, to w jaki sposób Snabel zamierzał zwędzić go panu Peckowi?

No i w jakim celu Snabel spotkał się z tym facetem w Monterey? Widzieli przecież wyraźnie na nabrzeżu rybackim tego elegancika, który zmył się i rozpląnął w tłumie na pierwszy sygnał, że mogą być jakieś kłopoty. Nie wydawało się jednak, aby człowiek ten miał jakiegokolwiek powody, aby interesować się panem Peckiem. Po co więc spotkał się ze Snabelem?

- Jest! - wykrzyknął nagle pan Peck.

Byli właśnie w połowie mostu przez rzekę i pan Peck poinformował chłopców, że to jest wspaniała, ogromna Missisipi. Wysoko nad wodą wznosiły się zielone, urwiste brzegi. Tu i ówdzie widać było gęsto porośnięte drzewami wyspy. Na drugim brzegu chłopcy zobaczyli miasto.

- To jest właśnie La Crosse - powiedział pan Peck. - Zanocujemy tam.

Tego wieczoru zjedli kolację w restauracji położonej na samym nabrzeżu. Obserwowali muskające skrzydełkami wodę jaskółki brzegówki i brodzącą koło jednej z wysepek czapłę.

- Myślę, że Missisipi musiała tak właśnie wyglądać, kiedy mieszkał nad nią Mark Twain - powiedział pan Peck. - Pamiętajcie, jak to Tom Sawyer chował się na wyspie z Huckiem? Pewno była to wysepka podobna do tej, na którą właśnie patrzymy.

- Moglibyśmy przejechać się parowcem, ale takim napędzanym kołem łopatkowym za rufą? - zapytał tęsknie Bob. - Jakiś chłopak z recepcji motelu powiedział mi, że wycieczkowy statek odbija

co dwie godziny z centrum La Crosse.

- Oczywiście, zaliczymy to! - obiecał pan Peck.

Następnego ranka za kwadrans jedenasta cała czwórka czekała na wejście na pokład "La Crosse Queen". Mały stateczek kołysał się przy nabrzeżu naprzeciwko głównej ulicy w mieście, aby powieźć pasażerów do śluz położonych na górze rzeki, niedaleko rogatki, i z powrotem. Pan Peck był trochę rozczarowany tym, że jednostka napędzana była zwykłym dieslem, a nie tradycyjnym silnikiem parowym. Ale Pete zauważył bystro, że taki diesel przynajmniej nie wybuchnie, jak to miały w zwyczaju silniki parowe, powodując nawet zatopienie statku.

- No, niech ci będzie - powiedział pan Peck. - Ale musi mieć przynajmniej to koło napędowe na rufie.

Kiedy zaczęto wpuszczać pasażerów, pan Peck czym prędzej wkroczył z chłopcami. Zajęli miejsca na górnym pokładzie i stamtąd zaczęli przyglądać się innym wycieczkowiczom, wchodzącym po trapie na statek. Ich uwagę przyciągnęli biegający wokół nadbrzeżnego parku miłośnicy joggingu, a także dzieci bawiące się na trawie. Nagle pan Peck zauważył coś, co napełniło go wściekłą furją.

- Popatrzcie tam! - wykrzyknął. - Przyjrzyjcie mu się! Przecież to ten lalusz!

Chłopcy spojrzeli we wskazanym kierunku. Zostawili buicka niedaleko nabrzeża i zobaczyli teraz stojącego za nim mężczyznę, przyglądającego się z zainteresowaniem ich samochodowi.

Jupe'a po prostu zatkało. Tak, to był ten sam, elegancko ubrany mężczyzna, z którym Snabel spotykał się na nabrzeżu w Monterey!

- To on, prawda? - spytał podnieconym głosem pan Peck. - To ten nieznajomy. Och, poczekajcie, aż on wpadnie w moje ręce!

Zerwawszy się z miejsca, pan Peck pomknął ku schodom prowadzącym na dolny pokład. Schody były jednak zatłoczone wchodzącymi na górę pasażerami, a w tej samej chwili usłyszeli jednostajne dudnienie silnika. Zanim pan Peck dotarł na dół, przestrzeń dzieląca "La Crosse Queen" od nabrzeża zaczęła się powiększać. Stateczek rozpoczął swój krótki rejs.

Dopiero w przeszło godzinę później przybił z powrotem do nabrzeża. Pan Peck i Trzej Detektywi opuścili go jako pierwsi. Biegiem rzucili się do miejsca, w którym zostawili buicka.

Samochód nie miał żadnych zewnętrznych uszkodzeń. Nie było śladów włamania czy próby otwarcia drzwi. Pete wczołgał się pod karoserię, aby sprawdzić ją od dołu. Bob i Jupe wyjęli z bagażnika walizki i dokładnie przejrzyli tylną część auta. Pan Peck sprawdził przestrzeń pod tablicą rozdzielczą i pokrywą silnika.

- Nic! - stwierdził w końcu. - Ale do ciężkiej Anielki, co ten osobnik tu robił? W jaki sposób znowu nas znaleźli? Jak to się mogło stać po wyrzuceniu przez nas tego nadajnika?

- Może zaczęli się tu na nas? - odezwał się Bob.

Pan Peck i pozostali chłopcy spojrzeli na niego z zakłopotaniem.

- Mam na myśli to, że gdybym sam chciał koniecznie znaleźć kogoś, kto przemierza kraj przez całą jego szerokość, udałbym się do miejsc odwiedzanych zawsze przez turystów i zwyczajnie bym czekał. Na przykład w La Crosse zacząłbym się gdzieś koło tej przystani, żeby zobaczyć, czy osoba, której bym szukał, nie ma zamiaru popłynąć na wycieczkę po rzece.

Pan Peck kiwnął głową.

- Tak, to może być odpowiedź. Zuch z ciebie, Bob. Wszyscy zresztą jesteście świetnymi chłopakami.

- Może powinniśmy wynieść się stąd czym prędzej - powiedział Bob - i od tej pory trzymać się z daleka od turystycznych pułapek. Kiedy jechaliśmy bocznymi drogami, nie było żadnych problemów.

- Zgoda - powiedział pan Peck. - Będziemy starali się jechać jak najprędzej, a kiedy znajdziemy się już w Nowym Jorku, wszystkie kłopoty się skończą. Snabel będzie bez żadnych szans, nawet choćby miał nie wiem ile szczęścia.

W piętnaście minut później znajdowali się już za rogatkami La Crosse, pędząc na południowy wschód publicznymi drogami o drugorzędym znaczeniu. Noc spędzili na przedmieściach Rockford w stanie Illinois.

Następnego ranka dotarli do Chicago i pan Peck uraczył chłopców krótką przejażdżką przylegającym do jeziora bulwarem, wzdłuż szpaleru luksusowych willi i eleganckich domów, wychodzących na jezioro Michigan.

- Teraz możecie już się chwalić, że byliście w tym mieście - oświadczył podczas lunchu, zjedzonego na samym szczycie jednego z miejscowych drapaczy chmur.

Krótko potem znów byli w drodze, tym razem w poprzek stanu Indiana.

Następną noc spędzili w Sturgis, miasteczku położonym już w stanie Michigan, o parę kroków od biegnącej przez Indianę autostrady. Bob odłączył się na chwilę od grupy, aby pójść do supermarketu. Sklep z artykułami fotograficznymi przy głównej ulicy był zamknięty, a właśnie skończył mu się ostatni film.

Szybko znalazł właściwe stoisko, usytuowane nieco z boku, w którym kupił dwie rolki. Zapłacił i skierował się do wyjścia. Nagle ktoś zablokował mu drogę.

Tuż przed nim wyrósł jak spod ziemi elegancki facet z Monterey.

Bob wybałuszył na niego oczy i znieruchomiał jak sparaliżowany. Przez chwilę nie był w stanie wymówić ani słowa. Ani zrobić najmniejszego ruchu.

- Wiem, że nie masz go przy sobie - powiedział nieznajomy. Płaski, pozbawiony śladów jakiegoś podniecenia głos pasował do jego gładkiej, cukierkowej twarzy. - Ale nic nie szkodzi. I tak go dostaniemy. A teraz pójdziesz ze mną - dodał chwytając Boba za rękę. W jego oczach zatańczyły iskierki ironicznego uśmiechu.

Bob szarpnął się do tyłu, ale nie zdołał się wyrwać. Dłoń nieznajomego zamknęła się na jego ręce stalowym uściskiem. Mężczyzna odwrócił się w kierunku automatycznych drzwi i pociągnął Boba za sobą. Kiedy obaj znaleźli się bliżej, drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Wychodziły na parking, na którym z całą pewnością...

Bob zaczął gorączkowo zastanawiać się nad swoim położeniem. Nieznajomy elegancik musiał być w zмовie ze Snabelem. Obaj zamierzali pewno ukryć gdzieś Boba i przetrzymać go dotąd, dopóki nie otrzymają tego, co starali się zdobyć przez cały czas, czyli wynalazku pana Pecka.

A jeśli nieustępliwy starszy pan nie zgodzi się na taką transakcję? Jeżeli odmówi...?

Bob krzyknął, zapierając się jednocześnie nogami o podłogę. Następnie rzucił się w kierunku kranu wystającego ze ściany niedaleko drzwi i uchwycił się go z całej siły, mimo iż zaczęła z niego płynąć woda, mocząc mu twarz, szyję i koszulę. Trzymał się go, wrzeszcząc co sił w płucach.

- Spokojnie, synku - powiedział nieznajomy. - Zamknij się, i to już!

Jego głos był cichy, ale stanowczy i pewny. Przypominał głos ojca upominającego nieposłuszne dziecko.

Krzyki Boba odniosły skutek. Jak spod ziemi wyrósł tuż obok ekspedient z pobliskiego stoiska.

- Jakież problemy? - zapytał.

- Nic poważnego - powiedział nieznajomy. Jedną ręką trzymał wciąż mocno Boba, drugą starał się zmusić go do puszczenia kranu. - Mój chłopak chciał... chciał tylko...

- Porywacz! - wykrztusił chrapliwie Bob, któremu udało się odsunąć nieco w bok, tak że woda nie spływała mu już prosto na twarz. - Podpalacz! Oszust! Proszę pana, niech pan wezwie gliny! Ten facet nie jest moim ojcem. Nigdy przedtem nie widziałem go na oczy!

Wokół szamocących się postaci zgromadził się mały tłumek. Ze swymi wózkami na zakupy podjechało czterech czy pięciu klientów, był także młody pracownik obsługi w czerwonym kombinezonie.

- Charlie - zwrócił się do niego ekspedient - skocz do telefonu i zadzwoń do biura szeryfa, żeby przysłali tu Henry'ego Parsonsa. Niech zobaczy, o co tu chodzi.

- To śmieszne! - powiedział elegancik. - To znaczy, nie chcę... po prostu nie chcę, żeby mieszła się w to policja. Chłopak nie jest u nich notowany i lepiej by było, żeby nadal nie był.

Mężczyzna zniżył głos.

- Próbował jakichś eksperymentów z kompotem, a może... może i z czymś trochę mocniejszym, a ja chciałbym zapobiec, póki czas...

- Ten facet nie jest moim ojcem! - nie dawał za wygraną Bob. - Nie wie nawet, jak się nazywam!

Ekspedient posłał nieznajomemu pytające spojrzenie.

- Niech go pan zapyta! - powiedział błagalnym głosem Bob. - Niech mu pan każe podać moje nazwisko, albo przynajmniej imię. Założę się, że tego nie zrobi.

Na twarzy nieznajomego pojawił się gładki uśmiezek.

- Mój syn Ralph jest wyjątkowo upartym szczeniakiem. Obawiam się, że ma to po rodzicach...

Bob puścił się kranu, a potem wyjął z kieszeni swój portfel i wręczył go ekspedientowi.

- Jest tu moja legitymacja uczniowska - powiedział. - Ze zdjęciem.

Kiedy ekspedient otworzył portfel, elegancko ubrany facet odwrócił się i w jednej chwili zniknął za drzwiami.

Rozdział 13

Pete motocyklista

Bob siedział w małym wilgotnym pokoiku, położonym na zapleczu mlecznego działu supermarketu, próbując odpowiedzieć na pytania zastępcy szeryfa.

Wbrew pozorom nie było to łatwe.

- Ale w jakim właściwie celu ktoś miałby ścigać was przez całą szerokość Ameryki? - spytał oficer policji.

- Pan Peck uważa, że oni chcą mu wykraść jego wynalazek - wyjaśnił Bob. - Przypuszczam, że jego podejrzenia są prawdziwe.

Bob poinformował następnie policjanta o tym, że pan Peck jest dziadkiem jego przyjaciela. Kazano mu też opisać wynalazki pana Pecka, które były mu znane. Bob nie zapomniał także opowiedzieć o tym, jak to pan Peck odmówił chłopcom jakichkolwiek informacji na temat wynalazku, który zamierzał sprzedać w Nowym Jorku.

- On uważa, że gdybyśmy wiedzieli za dużo, mogłoby się nam przytrafić coś złego -

powiedział.

- Tak czy owak, to już się wam prawie przytrafiło - stwierdził zastępca komisarza.

Bob skinął potakująco głową, a potem z wdzięcznością przystał na jego propozycję udania się do motelu, w którym zostawił pana Pecka i obu kolegów.

Na wieść o tym, co się wydarzyło, pan Peck wpadł we wściekłość i choć stanowczo odmówił policjantowi jakichkolwiek rozmów na temat swego wynalazku, z radością i szczegółowo opowiedział mu o ciągnącym się od Rocky Beach pościgu. Wspomniał o wszystkim, o pożarze w motelu w Coeur d'Alene, o podejrzanym nadajniku przymocowanym do zbiornika paliwa, a także i o tym, że nieznamy osobnik z Monterey myszkował koło ich samochodu w La Crosse.

Kiedy pan Peck rozpoczynał swoją opowieść, zastępca komisarza przysłuchiwał się z uprzejmym zainteresowaniem. Ale kiedy zbliżał się do końca, na twarzy policjanta malowało się niedowierzanie.

- Rozumiem - powiedział. - Czy to już wszystko?

- A czy to jeszcze mało? - odciął się pan Peck.

- Z pewnością wystarczy - stwierdził policjant.

Jupe podał mu jeszcze zapamiętane przez siebie numery rejestracyjne samochodu, który widzieli niedaleko góry Saint Helens. Zastępca komisarza zapisał je i poprosił pana Pecka i Boba o podpisanie protokołu, a potem wyszedł z dość niewyraźną miną.

- Oni nie złapią tych dwóch - powiedział pan Peck. - Do tej pory te ptaszki zdążyły się już ulotnić z miasta.

Żaden z chłopców nie oponował.

Wieczorem, kiedy kładli się już do łóżek, Jupe powiedział:

- Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza.

Gotowy do snu Pete ziewnął głośno. Bob zareagował jednak na uwagę przyjaciela.

- Co masz na myśli, Jupe? - zapytał.

- Dlaczego właściwie, Bob, chciał cię porwać ten kumpel Snabela?

- Żeby zdobyć wynalazek pana Pecka - odparł Bob.

- No tak, ale chodzi mi o to, dlaczego chciał porwać właśnie ciebie, a nie pana Pecka czy któregoś z nas dwóch.

- Och, nie mam pojęcia - odparł Bob. - Może dlatego, że byłem przez chwilę sam.

- Może Bob ma szczególnie rozwinięty magnetyzm zwierzęcy - odezwał się Pete.

Jupe udał, że nie dosłyszał jego uwagi:

- A poza tym - ciągnął dalej - powiedział, zdaje mi się: "Wiem, że nie masz tego przy sobie". Przypuśćmy, że to "tego" odnosiło się do wynalazku pana Pecka, bo przecież przez cały czas byliśmy pewni, że zależy im na jego przechwyceniu. Ale tak naprawdę, za tym określeniem może się kryć cokolwiek.

- Wiesz, Jupe - powiedział błagalnie Bob - może zastanowimy się nad tym jutro, dobra? To, co dziś przeszedłem, wystarczy jak na jeden dzień.

- Ja też mam już dosyć - dołączył do niego Pete. - A zresztą, zdaje się, że to są przecież nasze wakacje.

- No dobrze, zgoda - powiedział z nachmurzoną miną Jupe.

Chłopcy powiedzieli sobie dobranoc i w chwilę później w pokoju słychać już było jedynie rytmiczne chrapanie, dochodzące zza ściany.

Następnego ranka Trzej Detektywi i pan Peck byli na nogach jeszcze przed wschodem słońca. Od tej chwili ich podróż zamieniła się w prawdziwy wyścig z czasem. Postanowili definitywnie rozstać się z bocznymi drogami. Bo choćby obrali obojętnie jaką trasę, ich prześladowcy i tak odnaleźliby ich bez trudu. Tak więc zdecydowali się na jazdę międzystanową autostradą, na której panował przynajmniej ożywiony ruch. Gdyby Snabel i jego kompani próbowali użyć przemocy, starając się na przykład zepchnąć buicka z jezdni, pan Peck i chłopcy mogli liczyć na pomoc innych kierowców.

Pomknęli więc wciąż dalej i dalej przez Indianę i Ohio. O zmroku pan Peck był całkiem sztywny i wyczerpany. Ale pogniewałby się na najłżejsze choćby przypuszczenie, że dał się zastraszyć Snabelowi. Byli już w Pensylwanii, kiedy doszedł do wniosku, że ma już absolutnie dość, skręcił w najbliższy zjazd i wynajął pokoje w motelu, położonym o niecałe dwieście jardów od autostrady.

- Róbcie, co chcecie, chłopcy - powiedział. - Wykąpcie się w basenie albo posiedźcie przed telewizorem. Ja jadę teraz zatankować paliwo i zaraz wracam.

- Pojedziemy z tobą, dziadku - powiedział bez namysłu Pete.

- Nie potrzebuję żadnych stróżów - uciął krótko pan Peck. - Niedaleko stąd, przy tej drodze, jest stacja benzynowa. Za parę minut będę z powrotem.

Był w takim nastroju, że postanowili nie przeciwstawiać mu się. Wsiadł do samochodu i

pojechał, a chłopcy włączyli stojący w ich pokoju telewizor. Czuli się jednak zbyt niespokojni, aby oglądać jakikolwiek program. Czekali.

Minęło dwadzieścia minut, potem pół godziny.

- Musiało mu się coś przydarzyć - powiedział Pete.

Jupiter zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami, Bob wyglądał przez okno. Znajdowali się na przedmieściu jakiegoś małego miasteczka, którego światła były ponad koronami drzew.

- Może przypomniał sobie, że czegoś potrzebuje, i pojechał do miasta, żeby to kupić - powiedział Bob.

- Albo może nie spodobały mu się ceny w tej stacji benzynowej, więc pojechał szukać innej - dodał Jupe.

Minął jeszcze jeden kwadrans i Trzej Detektywi doszli do wniosku, że nie mogą dłużej czekać. Sięgnęli po swoje kurtki i wybiegli na ulicę.

Pana Pecka nie było w najbliższej stacji benzynowej. Człowiek obsługujący pompy nie widział go.

- Zauważyłbym samochód z Kalifornii - powiedział. - Nawet tu, tak blisko autostrady, nie widuje się ich zbyt często.

Mimo zapadającego szybko mroku chłopcy ruszyli dalej. Pana Pecka nie było także i na terenie następnej stacji. Trzecia znajdowała się tuż za rogiem ulicy. Obsługujący ją chłopak był niewiele starszy od nich i przypomniał sobie niemłodego pana, jadącego buickiem.

- Był tu z pół godziny temu - powiedział. - Może trochę więcej. Staruszek sam lał benzynę, a ja sprawdziłem mu w tym czasie poziom oleju i wody, a potem jeszcze koła.

- Pamiętasz, w którą stronę skręcił po wyjechaniu stąd? - zapytał niecierpliwym tonem Pete.

- Wrócił tam, skąd przyjechał - powiedział chłopak, wskazując ręką kierunek w stronę motelu. - Nie wiem, czy nie zatrzymał się gdzieś po drodze, ponieważ w tym momencie nadjechało paru facetów na motorach i byłem trochę zajęty.

- Na motorach? - powtórzył jak echo Pete.

Jupe zdał sobie nagle sprawę, że gnębią go złe przecucia.

- Ilu było tych motocyklistów? - zapytał.

- Dwóch. A dlaczego pytasz?

- Ponieważ... ponieważ mieliśmy trochę kłopotów z jakimś motocyklowym gangiem, ale na

zachód stąd, dość daleko - wyjaśnił Jupiter. - Ci, co byli tutaj, to pewno całkiem inni faceci. Zauważyłeś, w którą stronę pojechali?

- W tę samą, co i buick - powiedział chłopak. - Pytali mnie, czy jest tu jakiś dobry kemping, na którym można przenocować. Powiedziałem im, żeby pojechali na tereny piknikowe w Parson's Woods. Ej, czekajcie, jeżeli podejrzewacie, że temu staruszkowi coś się przydarzyło i że mogli maczać w tym palce ci motocykliści, mógłbym... mógłbym zadzwonić zaraz po gliny.

Chłopcy zawahali się. Pete przypomniał sobie, że tego wieczoru jego dziadek był wyjątkowo rozdrażniony. Mógł wybuchnąć z lada przyczyny. Gdyby doszedł do wniosku, że chłopcy okazali nieuzasadnioną niczym nadgorliwość, mógłby naprawdę wpaść we wściekłość.

- Dzięki, nie trzeba - powiedział Pete. - Jakby co, to... damy ci znać.

- A jak trafić na te tereny piknikowe? - zapytał Bob.

Chłopak zapewnił go, że są one oddalone nie więcej niż o pół mili. Następnie przyniósł z kantoru jakiś blankiet i na odwrocie narysował prostą mapkę. Podziękowali mu i ruszyli z powrotem w kierunku autostrady. Bob kurczowo ścisnął w dłoni zabrudzoną smarem mapkę.

Przed odejściem do motelu, w którym się zatrzymali, napotkali ulicę prowadzącą w lewo. Skręcili w nią i idąc zgodnie ze wskazaniem mapki znaleźli się na wąskiej alejce, przy której nie było domów ani sklepów, paliły się tylko ustawione w sporych odstępach uliczne latarnie. A potem skończyły się i one. Alejkę oświetlał tylko blado wschodzący księżyc.

Po pewnym czasie zobaczyli jednak jakieś światło. Ktoś rozpałił ognisko na polance na lewo od drogi. Chłopcy ujrzeli dwóch mężczyzn poruszających się w migotliwym blasku ognia. Spokojnie szli dalej i zaraz potem zobaczyli buicka. Stał niedaleko ogniska, o kilkanaście kroków od drogi. A za samochodem, po drugiej stronie ogniska siedział pan Peck. Siedział mocno pochylony na drewnianej, kempingowej ławce, tyłem do stołu. Patrzył na dwóch mężczyzn, kręcących się koło ogniska, między nim i buickiem. Na twarzy starszego pana malował się kamienny spokój.

- To ci sami motocykliści - szepnął Pete. - Złapali dziadka!

- Cicho! - odszepnął ostrzegająco Jupe.

W chwilę potem zobaczyli nie wyłożoną niczym dróżkę, prowadzącą od alejki do biwakowej polany. Chłopcy zaczęli się nią podkradać. W pewnej chwili Bob omal nie wyłożył się na dwa pozostawione tam motocykle. Detektywi zatrzymali się i przykucnąwszy za potężnymi motorami, zaczęli nasłuchiwać.

Dochodzące od biwakowego pola głosy pełne były chełpliwej pogardy.

- Do tej pory nic jeszcze nie widziałeś, staruszkule! - powiedział jeden z motocyklistów. - Zabierzemy cię na przejażdżkę, której nie zapomnisz do końca życia!

Powiedziawszy to, mężczyzna pociągnął długi łyk z puszki, a potem zgniótł ją w dłoni i

odrzucał za siebie. Pochylił się nad leżącą na ziemi papierową torbą i wyjął następną puszkę. Pociągnawszy chciwie potężny łyk, czknał i obtarł usta rękawem.

Pan Peck mruknął z niesmakiem i popatrzył w bok.

- Ejże, patrz mi w oczy, staruszkule, kiedy do ciebie mówię - krzyknął motocyklista.

Pete aż podskoczył w górę. Jupe chwycił go jednak za ramię i przytrzymał.

- Jeździłeś kiedy, starowinko, po prawdziwych górkach, na których nigdy przedtem nikt nie szalał? - zapytał ten sam motocyklista.

Jego kumpel zaśmiał się głośno.

- Człowieku, to dopiero jest życie! Jeżeli nie kipniesz po drodze, staruszkule, będziesz musiał to polubić!

Obaj motocykliści skwitowali to gardłowym śmiechem.

Jupe puścił ramię Pete'a i w tej samej chwili zorientował się, że jego przyjaciel znikł gdzieś w ciemnościach. Poczł, że twarz pali go ze strachu i podniecenia.

Pete był już jednak z powrotem. Pochylił się w stronę Jupe'a i kiwnął na Boba, aby się zbliżył.

- Ej, chłopaki - szepnął. - Ci twardziele zostawili kluczyki w stacyjkach. Kluczyki dziadka też były w samochodzie. - Uniósł w górę najpierw jeden pęczek kluczy, potem drugi, wreszcie trzeci. - Nigdzie nie zabiorą stąd mojego dziadka! - dodał szeptem przez zaciśnięte zęby. - Weźcie te kluczyki i kopnijcie się z nimi z powrotem do tej stacji benzynowej, żeby wezwać gliny. Ja zostanę tutaj, a jakby chcieli zrobić dziadkowi jakąś krzywdę, postaram się... postaram się...

Urwał, nie bardzo wiedząc, co też mógłby zrobić w obronie dziadka. Jupe wyszczerzył zęby. W głowie zaświtała mu piękna, bardzo piękna myśl.

Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, analizując wciąż na nowo swój pomysł. Nie znalazł w nim właściwie prawie żadnych słabych punktów. Powinien się udać bez pudła, umożliwiając zabranie stąd całego i zdrowego pana Pecka.

- Posłuchaj! - szepnął Pete'owi do ucha. - Jeździłeś raz czy dwa starym motorem Charliego Fishera, prawda?

Wspomniany przez Jupe'a Charlie Fisher był jedną z bardziej znanych postaci w Rocky Beach. Ten starszy już człowiek utrzymywał się z pracy w składzie opału. Miał stary, mocno podniszczony motocykl, a że lubił młodych ludzi, pozwalał czasami tym, którzy cieszyli się, jak Pete, jego zaufaniem, pojeździć na nim.

Ale potężne maszyny, drzemające w cieniu niedaleko uczłujących przy ognisku właścicieli, różniły się od zabytkowego grata Charliego tak, jak dzień od nocy.

Pete zmarszczył brwi.

- Chcesz, żebym odjechał stąd jednym z tych smoków? - szepnął do Jupe'a. - Zwariowałeś czy co?

- Może tak - powiedział Jupe. - A może nie. A potem przedstawił przyjacielowi resztę swego planu. Pomysł był całkiem dobry i przypadł Pete'owi do gustu. Pete czuł jednak, że ma on też pewną wadę. Gdyby nie udało się go zrealizować, to znaczy, gdyby on, Pete, nie zdołał opanować ciężkiego motocykla, ci dwaj twardziele zrobiliby z niego prawdopodobnie prawdziwy kogel-mogel. Chyba że Bobowi i Jupe'owi udałoby się ich zatrzymać, co było sprawą co najmniej wątpliwą.

Z drugiej strony, gdyby planowana przez chłopców akcja nie przebiegła wystarczająco szybko, motocykliści mogliby brutalnie odegrać się na panu Pecku. Pete nie mógł dopuścić do czegoś takiego.

- No dobra - powiedział w końcu. - Jedziemy z tym koksem!

Chłopcy podczołgali się do buicka. Powolutku i jak najciszej otworzyli bagażnik i wyjęli z niego torbę z narzędziami. A potem zabrali się do roboty.

Przez cały ten czas motocykliści zdążyli wytrąbić całą górę puszek z piwem. Niezdarnie kręcili się wokół ogniska, bełkocąc coś ochryplymi głosami. Pete był pewien, że nie zwrócą uwagi na żadne przypadkowe hałasy. Mimo to chłopcy starali się nie ryzykować jakimś nie przemyślanym ruchem. Pracowali spokojnie i z wycuciem. Kiedy zdołali już dopasować odpowiednie klucze, cała reszta poszła piorunem.

- Dzięki Bogu jest ich tylko dwóch - powiedział szeptem Pete. - Gdyby był tu cały gang, nic byśmy nie zrobili.

Powoli i bezgłośnie Jupe włożył kluczyk do stacyjki pierwszego motocykla. A potem wręczył drugi pęczek kluczy Pete'owi, który stał już gotowy obok drugiego motoru.

Maszyna była naprawdę ogromna. Pete był wprawdzie najwyższy i najsilniejszy z całej trójki, ale kiedy dosiadł ją okrakiem, ledwo dotykał ziemi stopami. Udało mu się jednak zepchnąć motocykl z podpórki. Włożył kluczyk do stacyjki i wziął głęboki oddech. A potem postawił nogę na pedale, przekręcił kluczyk i całym ciężarem ciała zawisł na dźwigni rozrusznika.

Motor ryknął niczym dziki zwierz i w tej samej chwili zgasł.

Pete poczuł, że robi mu się słabo ze strachu. Motocykliści zerwali się z krzykiem na równe nogi.

Jeszcze raz postawił nogę na pedale rozrusznika i kopnął z całej siły.

Motor zawarczał znowu, ale tym razem nie zatrzymał się. Pete pochylił się do przodu, włączył jedynekę i podpierając się obiema stopami zwolnił sprzęgło. Motor szarpnął niczym rozbrykany koń, a potem, podskakując na jakichś dołkach, wytoczył się na drogę. Z dudnieniem motoru zmieszały się krzyki Pete'a, który ze wszystkich sił starał się opanować narowistą maszynę.

W jednej chwili obaj motocykliści wskoczyli na drugi motor. Siedzący z przodu jednym kopnięciem uruchomił go i natychmiast zwolnił sprzęgło. W przeciwieństwie do Pete'a gładko ruszył z miejsca, ale trwało to tylko przez chwilę. Powietrze rozdarły nagle przekleństwa i krzyki obu mężczyzn. Przednie koło ich motoru odpadło i obaj, koziołkując rozpaczliwie nad kierownicą, wylądowali na ziemi, a potem na czworakach rzucili się w bok, aby zejść z drogi jednokołowemu potworowi, wyczyniającemu tuż obok nich straszliwe, dzikie harce.

Jupiter rzucił się razem z Bobem do ławki, na której siedział pan Peck. Chwycili go za ramiona i pociągnęli w kierunku buicka. Przez chwilę starszy pan nie wiedział, co się dzieje, szybko jednak oprzytomniał. Zrozumiał, że jeśli mu życie miłe, musi brać nogi za pas, toteż jednym szarpnięciem otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. Chłopcy wręczyli mu kluczyki i jednym susem wskoczyli na przednie siedzenie obok niego. Samochód ruszył, zanim jeszcze zdążyli zatrzasać za sobą drzwi. Pan Peck zatoczył szerokie koło, nie zważając na wyrastające przed maską samochodu krzaki, otarł się niemal o jakieś drzewo i przemknął tuż obok całkowicie zdezorientowanych motocyklistów. W chwilę potem był już na prostej drodze.

Kilkaset metrów dalej pan Peck przyhamował trochę. Chłopcy obejrzel się do tyłu.

Obaj motocykliści stali na wąskiej drodze, wściekle wymachując rękami.

Jupe i Bob wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

Rozdział 14

Śmiertelna tajemnica

W pół godziny później do motelu przywłókł się Pete. Był cały mokry i ubłocony, ale szczerze rozradowany.

- Wjechałem tym motorem do jakiejś sadzawki - oznajmił wesoło. - A kluczyki wrzuciłem do skrzynki pocztowej. To powinno ich przygwoździć przynajmniej na jakiś czas.

- Dziadku, co ci się właściwie przytrafiło? - zapytał Pete. - W jaki sposób znalazłeś się w takich opałach?

Na twarzy pana Pecka odmalowało się zakłopotanie.

- No wiesz, Pete, te błazny po prostu mnie zaskoczyły. Tak jak wam powiedziałem, pojechałem zatankować paliwo. A potem skręciłem w tę boczną dróżkę sprawdzić, czy Snabel albo któryś z członków jego bandy nie przyczepił mi nowego nadajnika. Kiedy leżałem pod samochodem, żeby obejrzeć podwozie, nagle ni stąd, ni zowąd zjawilo się tych dwóch tępaków, którzy zagrozili, że połamią mi wszystkie kości, jeżeli nie zrobię tego, co mi każą. Jeden z nich wsiadł do samochodu i

zmusił mnie, żebym pojechał na teren tego kempingu.

Jupiter słuchał z bardzo poważną miną.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że był pan w wielkim niebezpieczeństwie. Całe szczęście, że udało się panu wyjść z tego bez szwanku.

- Och, Jupe, nie musiałeś się tak o mnie trapić - odparł starszy pan, najwyraźniej odzyskujący dawny animusz. - Czekałem, aż ci jaskiniowcy spiją się na umór, żeby im dać do wiwatu. Mam jeszcze w rękawie parę starych trików.

Pete nie był pewien, co jego dziadek miał na myśli, ale postanowił nie dopytywać się zbyt natrętnie.

- Czy dzwoniłeś na policję, dziadku? - zapytał.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi biurokratami - oświadczył pan Peck. - Wolę nie tracić czasu na wyjaśnianie mojej sytuacji jakimś skretyniałym stróżom prawa, którzy nie rozumieją najprostszycich spraw. Po opuszczeniu tego miasteczka pojedziemy na zachód.

- Na zachód? - zdziwił się Pete.

- Tak, na zachód. Motocykliści nigdy nie wpadną na to, że pojechaliśmy w tamtym kierunku. Także dla Snabela i jego kompana, jeżeli nadal nas ścigają, będzie to spora niespodzianka. Znajdziemy jakieś miłe miasteczko i rozejrzemy się za handlarzem samochodów. Zamienimy u niego buicka na inny wóz i spokojnie podejmiemy dalszą podróż. To nasz buick ściąga nam ich bezustannie na głowę. Zna go i Snabel, i ten jego kumpel, nie mówiąc o motocyklistach. Musimy się go pozbyć.

Pete z podziwem spojrział na swego dziadka.

- Ej, spryciarz z ciebie!

- No, no, staram się dorównać wnuczкови! - odparł pan Peck. - A teraz, chłopaki, pozbierajcie szybko swoje rzeczy. Moje też. Zwalniamy nasze pokoje.

W oczach starszego pana znowu pojawiły się wesołe iskierki, a na policzki wrócił zwykły rumieniec.

- Wyprowadzę samochód - powiedział - i podjadę nim do bocznego wyjścia, wiecie, niedaleko basenu. Zejdźcie tam z walizkami. A ty, Pete, załóż na siebie coś suchego.

W jednej chwili Pete ściągnął mokrą koszulę, a Bob i Jupe żwawo zabrali się do pakowania walizek. Pan Peck uśmiechnął się szeroko. Od tamtego momentu nie uciekał już przed swymi wrogami, ale próbował stawić im czoło.

Niedługo potem cała czwórka pędziła już autostradą ku zachodowi. Była prawie północ, kiedy pan Peck zjechał z niej i zagłębił się w niemal całkowicie o tej porze opustoszałe ulice jakiegoś

miasta na granicy Ohio i Pensylwanii. W większości mijanych domów okna były ciemne, ale położony niedaleko autostrady hotel Holiday Inn przyciągał rześnym oświetleniem. Nasi podróżnicy zameldowali się w nim, żeby złapać choć parę godzin snu. Wczesnie rano byli już na nogach i zaraz po otwarciu zgłosili się do pobliskiej agencji Forda.

Pan Peck prawie bez dyskusji zgodził się na cenę, jaką sprzedawca zaoferował mu za buicka. Następnie wybrał z działu używanych samochodów dwuletniego forda i wypisał czek. Musiał jeszcze zaczekać z chłopcami w biurze na nadejście telefonicznego potwierdzenia, że jego czek ma pełne pokrycie na bankowym koncie.

Dopiero parę minut po dwunastej pan Peck zasiadł za kierownicą nowego samochodu, aby ruszyć wraz z chłopcami w dalszą podróż.

- Myślę, że nieźle im dołożyliśmy - powiedział, ani przez chwilę nie przestając rozglądać się bacznie za jakimkolwiek śladem obecności Snabela i jego kompana; a potem ziewnął przeciągle i przetarł oczy. - Nie jestem już taki młody, jak kiedyś - dodał. - Ciągle o tym zapominam. Co byście powiedzieli, gdybyśmy zatrzymali się gdzieś tu na cały dzień, żeby trochę odpocząć? Nic nas w tej chwili nie goni, a Snabel nigdy nie wpadnie na myśl, żeby nas szukać w jakimś fordzie.

Chłopcy nie mieli nic przeciwko tej propozycji. Wrócili więc do hotelu Holiday Inn i wkrótce potem pan Peck był już w łóżku, aby beztrudnie pochrapywać sobie aż do następnego ranka, z krótką przerwą na kolację.

Chłopcy popływali trochę w miejscowym basenie i pograli w golfa na pobliskim polu golfowym. Nie oddalali się jednak zbytnio. Późnym popołudniem wrócili do swego pokoju. Bob i Pete usiedli przed telewizorem, a Jupe stanął przy oknie i zaczął wyglądać na dwór. Miał dziwnie skupioną minę, marszczył brwi i bez przerwy miętosił palcami dolną wargę - bezbłędny znak, że zastanawiał się nad czymś głęboko. Nagle kiwnął głową i powiedział:

- To jest jasne jak słońce!

Dwaj przyjaciele spojrzeli w jego stronę.

- Co jest takie jasne? - zapytał Bob.

- Snabelowi wcale nie chodzi o wynalazek pana Pecka - oznajmił Jupiter. - Ani przez chwilę mu na nim nie zależało.

Pete zrobił zdziwioną minę.

- Ej, nabierasz nas! Coś ci się chyba przywidziało. Gonił nas przecież z rewolwerem w dłoni. Chcesz powiedzieć, że polował w tym lesie na bawoły? Albo na dzikie króliki?

- A o co chodziło jego kumpłowi, który próbował mnie przyskrzynić w supermarkecie? - dołączył Bob.

- Właśnie ten osobnik dał mi najwięcej do myślenia - powiedział Jupiter, a potem odchrząknął

z namaszczeniem i usiadł wyprostowany na krześle. Wszystko to zrobił z miną profesora, który wygłosił za chwilę odkrywczą teorię. - Powiedz mi, Bob, co ten facet powiedział ci w supermarkecie. Ale dokładnie, co do słowa.

- Powiedział, że jestem jego synem, że coś tam ćpałem i że chce mnie z tego wyciągnąć. Miał całkiem jasne zamiary. Prawdopodobnie chciał mnie porwać dla okupu, a tym okupem mógł być tylko wynalazek pana Pecka. Jak przypuszczasz, czy ten wynalazek może mieć coś wspólnego z programem obywatelskiej samoobrony? Zdaje mi się, że to musi być coś dużo ważniejszego od tej dymnej petardy.

- Ale nie interesuje mnie zbytnio to, co ten facet powiedział kierownikowi stoiska. Chodzi mi o słowa, z jakimi zwrócił się do ciebie jeszcze przed nadejściem tego ekspedienta. Co to dokładnie było?

- Och, coś takiego, jak: "Wiem, że nie masz tego przy sobie, więc musisz iść ze mną", albo może: "Nie masz tego ze sobą,, prawda?" Coś w tym stylu.

- No więc, czego to nie miałaś wtedy przy sobie? - spytał Jupiter.

- Chyba... chyba wynalazku pana Pecka, jak sądzę. No bo czegoż by innego?

- Czy to naprawdę nie mogło być coś innego? - nie dawał za wygraną Jupe. - Coś, co zwykle nosisz przy sobie, ale czego nie zabrałaś tamtego wieczoru?

Bob nachmurzył się.

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być, chyba tylko... Tak! Oczywiście! Aparat fotograficzny i torba z akcesoriami. Ale co... dlaczego ten facet miałby się tym interesować?

Jupe wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tak. Aparat i neseserek z naświetlonymi filmami. Zostawiłeś to wszystko w motelu, a to są właśnie rzeczy, o które im chodzi. Dałbym sobie za to uciąć głowę!

Powiedziawszy to, Jupe oparł się wygodnie na krześle i złożył dłonie koniuszkami palców tak, że utworzyły one coś na kształt małego daszku czy sklepienia. Uśmiechnął się znowu.

- Nie sądzę, aby Snabel ścigał nas od samego początku naszej wyprawy - powiedział. - Pamiętacie, jaką miał minę, kiedy pan Peck rzucił się na niego na plaży w Pismo? Był zaskoczony i przestraszony. Myślę, że znalazł się tam z całkiem innego powodu.

Przypuśćmy - ciągnął dalej - że nasze spotkanie ze Snabelem na plaży było zupełnie przypadkowe. Tak naprawdę Snabel wcale nie szpiegował pana Pecka w pierwszym dniu naszej wyprawy, kiedy stał koło jego domu i przyglądał się naszemu odjazdowi. Robił po prostu to, co w takich przypadkach robi każdy sąsiad, czyli z ciekawości wściubiał nos w cudze sprawy, zgodnie zresztą ze swoimi przyzwyczajeniami. W jakiś czas po naszym odjeździe on także ruszył w drogę z zamiarem spotkania się z kimś w Monterey. My straciliśmy po drodze około godziny na lunch w

Santa Barbara. Tymczasem on pojechał prosto do Pismo, gdzie się zatrzymał, żeby odetchnąć i rozprostować nogi. Postanowił pospacerować po plaży, podobnie jak my, a kiedy twój dziadek, Pete, zobaczył go i wpadł w złość, był co najmniej tak samo zaskoczony tym spotkaniem, jak pan Peck. Pamiętacie, jaką miał minę?

Oddalił się nie czekając, aż spotka go coś złego, i pojechał do Monterey, gdzie wytworzyła się zupełnie nowa sytuacja. Pamiętacie, co zdarzyło się w Monterey?

- Natknęliśmy się na niego znowu, na nabrzeżu - powiedział Pete. - No i zobaczyliśmy tego drugiego faceta, tego samego, który próbował potem porwać Boba.

- Zgadza się. Ale kiedy Snabel zjawił się na nabrzeżu, nie miał absolutnie zamiaru śledzić nas czy deptać nam po piętach. Ani przez chwilę nie próbował ukryć się za czymś, a przeciwnie, całkiem otwarcie doszedł aż do końca przystani, zachowując się tak, jak zwyczajny turysta.

Na moment Jupe zasłonił dłonią oczy. Bob i Pete domyślali się, że chce przypomnieć sobie tę scenę, odtworzyć ją w pamięci tak, jakby oglądał ją nagraną na wideo. Dzięki jego znakomitej zdolności zapamiętywania mogły teraz wyskoczyć szczegóły, które wtedy, w czasie krótkiego spotkania ze Snabelem, wydawały się bez znaczenia.

- Snabel miał tamtego dnia ze sobą aparat fotograficzny - podjął Jupe. - Taki sam, jak aparat Boba, ale nie próbował nawet robić nim żadnych zdjęć. Po prostu czekał z aparatem w rękach. Wtedy zjawił się ten drugi gość i Snabel powiedział do niego: "Mam to ze sobą".

Czy to nie oznacza, że Snabel chciał coś przekazać tamtemu facetowi? W tym momencie nieznajomy kazał Snabelowi iść za sobą, po czym obaj oddalili się od nas i stanęli koło ławki, na której siedział Bob. Dopiero wtedy Snabel nas rozpoznał. Pamiętacie, jaki się zrobił wtedy błady? Pan Peck wyszedł ze sklepu, z którego obserwował całą scenę. Człowiek, który przyszedł na spotkanie ze Snabelem, natychmiast się ulotnił. Nagle znikł jak kamfora. Pan Peck chwycił Snabela i powiedział, że tym razem tak łatwo mu się nie upiecze i że lepiej będzie dla niego, jeżeli wreszcie zmądrzeje i da spokój temu, co sobie uplanował.

I tym razem Snabel wyglądał na przestraszonego. Nie spodziewał się zobaczyć tu pana Pecka. Pan Peck tymczasem powiedział nam, że jedziemy dalej, więc Bob sięgnął po aparat, który leżał obok niego na ławce, po czym odeszliśmy stamtąd.

I właśnie w tym momencie wszystko się zaczęło, ponieważ to wtedy właśnie Snabel po raz pierwszy próbował nas dogonić. Pamiętacie, jak biegł za samochodem i coś do nas krzyczał?

Pete kiwnął potakująco głową. Bob wpatrywał się w Jupe'a wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

- Zgadza się - powiedział. - Ale dlaczego?

- Ponieważ zabrałeś z ławki nie swój aparat, Bob - wyjaśnił Jupiter. - Złapałeś za aparat, który Snabel miał ze sobą i który położył na ławce, kiedy pan Peck złapał go za koszulę!

- Chcesz powiedzieć, że on nas ściga z powodu tego aparatu? - zapytał Pete. - To nie trzyma się kupy. Jeśli chciał tylko odzyskać swój aparat, to dlaczego nie przyszedł do nas do motelu w Santa Rosa, nie zapukał do drzwi i nie powiedział: "Ej, chłopaki, zabraliście mój aparat, a ja zabrałem wasz, ale właśnie go wam przynoszę". Po co te wszystkie podchody, skradanie się, porywanie i cała kupa innych rzeczy?

- Ponieważ gdyby chodziło tylko o aparat, nie warto by było tak się wysilać, no nie? Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby z powodu byle aparatu gnać taki kawał drogi, z Monterey aż do Santa Rosa. Dla takiej błyskotki nikt nie ścigałby nas przez całą szerokość Ameryki. Musiało im chodzić o film, który znajdował się w środku. Tylko on miał znaczenie dla Snabela i tego drugiego człowieka, a przy tym obu im zależało na tym, żebyśmy nie zorientowali się, że ten film ma dla nich taką wagę.

- Tak - powiedział Bob. - To możliwe.

- Podniósł się i rzucił torbę ze sprzętem fotograficznym na łóżko. Znajdowało się w niej dziewięć rolek z filmami, w tym jedna zupełnie nietknięta. Pozostałe były w całości naświetlone i czekały na wywołanie.

- Gdzieś tu musi być jakieś ekspresowe laboratorium fotograficzne - powiedział. - Idziemy go poszukać.

Nie błądzili długo po nieznanym mieście. Laboratorium znajdowało się w małym centrum handlowym odległym o trzy przecznice od hotelu. Detektywi wręczyli filmy siedzącej za kontuarem kobiecie, a potem zaczęli chodzić od wystawy do wystawy, aby zabić jakoś czas potrzebny na zrobienie odbitek.

Niosąc żółtą kopertę w stronę hotelowego parkingu, Bob czuł, że drżą mu ręce. Niecierpliwie odchylił skrzydełko koperty i zabrał się do wertowania zdjęć. Jupe i Pete zajrzeli mu przez ramię. Zobaczyli sylwetkę pana Pecka na tle Mount Rushmore, bizona z Custer, strzeliste iglice skalne z Badlands. A pomiędzy tymi turystycznymi ciekawostkami znajdowało się zdjęcie samolotu unoszącego się z pasa startowego.

- Nie fotografowałem czegoś takiego - stwierdził Bob.

Pete wziął zdjęcie do ręki i przyjrzał mu się z bliska. Samolot był bardzo smukły i zwracał uwagę przesuniętymi do tyłu skrzydłami.

- Wygląda jak wojskowy odrzutowiec - powiedział Pete. - Na pewno nie jest to samolot pasażerski.

Bob przejrzał szybko pozostałe zdjęcia. Na niektórych z nich widoczne były jakieś instalacje, przypominające krzyż wznoszący się między wielkimi zbiornikami, jakby rafinerii naftowej, i zbożowym elewatozem. Były robione z bliskiej odległości fotografie jakichś rysunków i diagramów, rozpiętych na tablicy i przymocowanych do niej pinezkami. A także zdjęcia stronic otwartego notesu czy zeszytu, pełne równań i notatek, całkowicie dla chłopców niezrozumiałych.

Kiedy dokonczyli tego szybkiego przeglądu, twarz Boba zroszona była kropelkami potu.

- A więc to są materiały, które on miał zamiar przekazać temu drugiemu - wyjąkał. - Tto mogą być zdjęcia wojskowych obiektów, no nie? A on jest być może szpiegiem, prawdziwym szpiegiem, sprzedającym cenne materiały informacyjne jakiemuś wrogemu wywiadowi!

Rozdział 15

Żywa przynęta

- FBI! - wykrzyknął pan Peck. - To jest to! Zadzwonimy do FBI, a oni się załatwią z tą kanalią!

Pete zdążył już przewertować lokalną książkę telefoniczną.

- Nic z tego - powiedział. - FBI nie ma w tym mieście swojego biura.

- A ty myślałeś, że będzie miało? - spytał pan Peck. - Jedziemy do centrali FBI w Nowym Jorku, i to zaraz. Pakujcie się!

W jednej chwili chłopcy gotowi byli do drogi. Zanurzyli się w ciemność nocy, aby pędzić nieprzerwanie aż do świtu. Nad ranem wpadli w długi, połyskujący białymi kafelkami tunel, wypełniony szumem mnóstwa jadących nim aut. Wreszcie ich oczom ukazało się wielkie miasto, pełne gigantycznych budowli, oszalałymi ulicznym ruchem, wibrujące klaksonami taksówek próbujących zająć jak najlepsze miejsce przed masywnym budynkiem, który z bliska okazał się kolejowym dworcem Pennsylvania Station.

Pan Peck zatrzymał się po drugiej stronie ulicy biegnącej koło dworca, aby poczekać tam na Jupe'a, który pobiegł rozejrzeć się za książką telefoniczną, spodziewając się znaleźć w niej adres FBI. Chłopcy czuli się strasznie podnieceni i podbudowani swoim odkryciem. Ich agencja detektywistyczna współpracowała wprawdzie w Rocky Beach z miejscową policją, nigdy dotąd nie miała jednak do czynienia ze szpiegowską aferą, która kwalifikowałaby się do zawiadomienia FBI.

Około pół do dziesiątej pan Peck wkroczył z chłopcami do biura, gdzie przyjął ich na osobności człowiek, który zdaniem młodych detektywów musiał być agentem. Przedstawił się jako Anderson. Był to budzący zaufanie mężczyzna o lekko rudawych jasnych włosach, równych, białych zębach i spokojnym sposobie bycia. Ten spokój bardzo mu się zresztą przydał, kiedy po mocnym uściśnięciu dłoni swych gości zasiadł, aby wysłuchać opowieści pana Pecka o tym łotrze Snabelu, który zajmował się sprzedawaniem nieprzyjacielowi tajemnic wojskowych. Pan Peck tak się podniecił w swym oburzeniu, że wkrótce jego opowiadanie zamieniło się w ciąg chaotycznych oskarżeń, rzucanych bez ładu i składu.

Agent FBI spokojnie czekał, aż pan Peck odzyska pełną kontrolę nad sobą.

- Ależ, dziadku, proszę cię! - odezwał się błagalnym tonem Pete. - Nie mamy przecież żadnej pewności co do wielu twoich oskarżeń. Może lepiej pokażmy panu te zdjęcia.

- Mamy absolutną pewność! - wykrzyknął pan Peck. Mimo to położył na biurku kopertę z odbitkami. - Zdjęcia te znajdowały się w aparacie Boba, z tym że w rzeczywistości nie był to jego aparat - oświadczył. - Został przypadkowo zamieniony. A ten zdrajca Snabel chciał sprzedać te materiały obcemu agentowi!

Pan Anderson zaczął przeglądać zdjęcia. Na jego twarzy nadal malowała się chłodna obojętność.

Jupe postanowił skorzystać ze sposobności i włączyć się do rozmowy.

- Panie Anderson, chciałbym przedstawić panu siebie i moich przyjaciół - powiedział, a potem wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją agentowi.

Pan Anderson z urzędowym namaszczeniem przeczytał następujący tekst:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Pan Anderson otworzył usta, jakby chciał zadać jakieś pytanie, ale Jupiter ubiegł go.

- Ja nazywam się Jupiter Jones i jestem szefem naszej detektywistycznej firmy, która ma siedzibę w Rocky Beach w Kalifornii. Badaliśmy wszelkiego rodzaju tajemnice, tak że nie są nam obce metody prowadzenia śledztwa.

Bobowi wydawało się, że na obojętnej twarzy pana Andersona pojawił się błysk rozbawienia. Agent delikatnym ruchem położył wizytówkę na swoim biurku.

- Oczywiście - ciągnął Jupe, spuszcżając skromnie oczy - nigdy dotąd nie zajmowaliśmy się sprawą o takiej doniosłości. Myślę, że jest dla nas prawdziwym zaszczytem współpraca z FBI...

- Daj spokój, Jupe - przerwał niecierpliwie Pete.

Jupiter rzucił Drugiemu Detektywowi karcące spojrzenie. A potem, zwracając się znowu do agenta, ciągnął dalej:

- ... w sprawie, która może potencjalnie wpłynąć na bezpieczeństwo naszego kraju.

Następnie Jupiter opowiedział, w jaki sposób w Monterey zostały zamienione oba aparaty.

- Od tego właśnie zaczęła się cała seria groźnych wydarzeń - wyjaśnił.

- Ten łajdak starał się dopaść nas od tego momentu - wykrzyknął pan Peck.

Starszy pan chwilowo poprzestał na tym. Zastąpił go Jupe, który opowiedział o pożarze motelu w Coeur d'Alene, o skradaniu się Snabela leśną ścieżką w Parku Narodowym Custer w Południowej Dakocie, wreszcie o próbie porwania Boba.

- Z całą pewnością w Sturgis w stanie Michigan mogą potwierdzić, że parę dni temu była tam próba porwania. Kierownik supermarketu zadzwonił wtedy po zastępcę szeryfa.

Urzędnik FBI czekał w milczeniu na to, co Jupe ma jeszcze do powiedzenia w tej sprawie. W chwilę potem skinął głową.

- Rozumiem - stwierdził krótko.

Zadowolony ze swego występu Jupiter oparł się wygodnie na krześle. Jego opowieść była logicznie powiązana, uporządkowana, dokładna, a przy tym, jak sądził, przekonująca. Teraz do ataku ruszył znowu pan Peck.

- Ta nędzna kreatura, Snabel, ma prawdziwą żyłkę do szpiegowania - powiedział - no a ten drugi musi być agentem jakiegoś wrogiego państwa.

Urzędnik FBI uśmiechnął się.

- Nie przypuszczam, abyśmy domyślali się, jakiego?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - odpowiedział pytaniem pan Peck.

- Być może nie ma - stwierdził pan Anderson, a potem poprosił swych gości o zaczekanie i zabrawszy ze sobą zdjęcia, wyszedł z pokoju. Po pewnym czasie wrócił i oznajmił, że jego koledzy analizują sprawę i że chciałby pozostać w kontakcie z panem Peckiem i jego młodymi towarzyszami podróży.

- Gdzie zamierza pan się zatrzymać na czas pobytu w Nowym Jorku? - zapytał.

Pan Peck podał nazwę małego hotelu, "Riverview Plaza", w dzielnicy East Side. Pan Anderson zapisał ją w swym notesie.

- Oczywiście, jeśli mają wolne miejsca - dodał pan Peck, którego nagle ogarnęły wątpliwości.

- Jeśli zechce pan poczekać chwilę, będziemy mogli to sprawdzić, jak sądzę - powiedział pan Anderson, a potem wyszedł znowu. Wróciwszy po paru minutach oznajmił, że w "Riverview Plaza" czekają na nich dwa pokoje.

- Gdybyście chcieli przekazać mi coś jeszcze, albo gdybyście spotkali znowu pana Snabela, proszę do mnie zadzwonić - powiedział na pożegnanie, wręczając panu Peckowi swoją wizytówkę.

Chłopcy uświadomili sobie, że ich opowiadanie zostało potraktowane z należytą powagą, na tyle przynajmniej, że rozpoczęto dochodzenie. Usatysfakcjonowani takim obrotem sprawy dumnie pomaszrowali ku windzie. Niedługo potem byli już w "Riverview Plaza". Okazała się to raczej wiekowa budowla, z której kiedyś być może podziwiano się rzekę, ale która obecnie była całkowicie pozbawiona wszelkich widoków przez otaczające ją wysokie biurowce. Forda pana Pecka natychmiast odstawiono gdzieś na niewidoczny parking, a inny pracownik z obsługi zaniósł bagaże do położonego na piętrze apartamentu. Jego częściowo matowe okna wychodziły na zbudowany ze stali i szkła budynek jakiegoś biura, w którym rzędy mężczyzn i kobiet siedziały w jaskrawym świetle fluorescencyjnych lamp przy terminalach komputerów.

Jupe z miejsca stwierdził, że widok jest zbyt przygnębiający, toteż bez cienia żalu zaciągnął story i wsunął się do łóżka. Zamknął oczy i zaczął zastanawiać się, ile też czasu może zająć FBI zweryfikowanie ich opowieści. I co agenci Biura zrobią z tym Snabelem, kiedy już wpadnie w ich ręce. To była ostatnia myśl Jupe'a przed zaśnięciem.

Śniło mu się, że jest u siebie, w składnicy złomu, i z trudem przedziera się przez stosy żelastwa, rzuconego beładnie wokół przyczepy, przerobionej na Kwaterę Główną Trzech Detektywów. Musiał się spieszyć, żeby odebrać telefon, który dzwonił i dzwonił bezustannie.

Obudził się spocony z podniecenia. Telefon w ich pokoju dzwonił rzeczywiście. Wciąż jeszcze na pół śpiący i oszołomiony Jupe patrzył, jak Bob wstaje z łóżka i podnosi słuchawkę, a potem mówi do niej:

- Tak, oczywiście.

Odłożywszy słuchawkę, Bob nie wrócił do łóżka.

- To był pan Anderson - powiedział. - Dzwonił z recepcji. Zaraz tu będzie.

Jupe i Pete zerwali się na równe nogi. Pete pobiegł obudzić swego dziadka. Starszy pan, bosy i z rozczochranymi włosami, stanął w drzwiach swego pokoju w tej samej chwili, w której od strony korytarza rozległo się pukanie.

Pan Anderson zjawił się w towarzystwie innego mężczyzny, wyższego i może trochę starszego od siebie. Przedstawił go jako agenta Friedlandera, a potem usiadł na stojącym w rogu pokoju małym krzeselku, zostawiając Friedlanderowi całkowitą swobodę w prowadzeniu rozmowy.

Pana Pecka poproszono o udzielenie wielu wyjaśnień dotyczących Snabela. Starał się zrobić to

bez zbytniego podniecania się i poruszania zbyt wielu wątków naraz. Wziąwszy pod uwagę to, że był sąsiadem Eda Snabela przez wiele lat, wiedział o nim bardzo niewiele. Mógł powiedzieć Friedlanderowi tylko tyle, że według jego rozeznania Snabel pracował w jakimś zakładzie przemysłu obronnego, że sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ma przyjaciół ani rodziny, a jego hobby to było uprawianie storczyków. O znajomym Snabela, który próbował porwać Boba, nie wiedział absolutnie nic. Bobowi udało się jednak zidentyfikować go na jednej z dwunastu pokazanych mu przez Friedlandera fotografii.

- Kim on jest? - zapytał Bob już po wskazaniu właściwego zdjęcia.

- Czy jest notowany?

Fotografia, którą Friedlander natychmiast schował z powrotem do kieszeni, nie była typowym policyjnym zdjęciem en face i z profilu, służącym do identyfikacji przestępców. Ukazywała w całości postać elegancko ubranego mężczyzny, znajdującego się na jakimś dworcu lotniczym, albo może kolejowym. Wychodził z wąskiego przejścia czy bramki, tak jakby dopiero co wysiadł z samolotu.

- Jest to człowiek, z którym mieliśmy już do czynienia w przeszłości - powiedział agent Friedlander. - Możecie nazywać go Bartlett. To jeden z jego wielu pseudonimów.

Pan Anderson podszedł bliżej i otworzył przyniesioną przez siebie skórzaną aktówkę. Wyjął z niej kilka rolek filmów fotograficznych. Były szczelnie zamknięte i zaklejone, tak jakby czekały na wywołanie.

- Posłuchaj, Bob, zrobiłbyś nam wielką przysługę, gdybyś zechciał ponosić trochę te filmy w twoim fotograficznym neseserku - powiedział. - Nie przejmuj się, jeżeli ktoś ci je ukradnie. Zdjęcia na tych filmach są całkowicie bezużyteczne.

Pan Peck aż podskoczył na krześle.

- Nie! - wykrzyknął. - Chcecie wystawić tego chłopaka na niebezpieczeństwo... zrobić z niego żywą przynętę. W czasie tej podróży ponoszę za niego odpowiedzialność i nie życzę sobie czegoś takiego!

Pan Anderson uśmiechnął się.

- Nie, panie Peck - powiedział. - Nie robimy z niego żywej przynęty. On już nią jest. Snabel i ten jego kompan mogą przecież i tak was wytropić. Z powodu tego filmu narazili się już na sporo kłopotów. Jeżeli w końcu dopadną Boba, a on nie będzie mógł wręczyć im tego, na czym im zależy, to jak pan myśli, co wtedy zrobią?

Pan Peck miał lekko zbolaną minę.

- To ma być coś w rodzaju polowania na wabia, tak? - powiedział siadając na krześle. - Jak w policyjnych filmach, które pokazują w telewizji? Będziecie pilnować Boba, a kiedy Snabel i ten Bartlett wyciągną po niego łapy, przyskrzycicie ich na gorącym uczynku?

Ani Friedlander, ani Anderson nie potwierdzili tego przypuszczenia, ale też nie zaprzeczyli mu. Poprosili tylko pana Pecka, aby zawiadomił ich o ewentualnym zamiarze opuszczenia z chłopcami Nowego Jorku albo o zmianie hotelu. A potem wyszli.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Bob wydał radosny okrzyk.

- Zostałem agentem kontrwywiadu! Do tej pory byliśmy tylko zwierzyną, ale teraz będziemy myśliwymi!

- Na razie jesteś tylko przynętą! - poprawił go pan Peck.

Starał się przy tym nadać swemu głosowi odcień surowej rzeczowości, ale jemu także, najzupełniej bezwiednie, udzieliło się ogólne podniecenie. Nawet jemu się nie śniło, że przy końcu tej podróży będzie współpracował z FBI... I to nad czym? Nad uziemieniem na zawsze nieznośnego sąsiada, który tak bardzo zalażł mu za skórę!

Rozdział 16

Dziadek Peck podaje swój adres

- Już cztery dni! - pożalił się Bob. - Cztery szaleńcze dni, a oni nie dają znaku życia!

- Straciliśmy na dobre kontakt z nimi - stwierdził Pete. - W tym mieście nigdy nas nie odnajdą.

Jupe nie powiedział ani słowa. Siedział właśnie zamyślony na kamiennej ławce przed American Museum of Natural History, gapiąc się na kroczące dumnie po chodniku gołębie. Ukradkiem obserwował pana Pecka.

Starszy pan z chmurnym wyrazem twarzy przyglądał się tętniącej ogłuszającym gwarem ulicy. Przez ostatnie cztery dni ani razu nie wspomniał o swym wynalazku, dla którego przyjechał przecież z chłopcami do Nowego Jorku. Nie napomknął nawet o tym, że chciałby się skontaktować z kimś, komu mógłby zaprezentować swój pomysł. Był całkowicie pochłonięty próbą zwabienia Snabela i jego wspólnika do zastawionej na nich pułapki. Za każdym razem, kiedy wychodzili z hotelu, rozglądał się na wszystkie strony, gotów do skoku. Nie odstępował Boba na krok.

Mieli nadzieję, że podobnie jak to się stało w La Crosse w Minnesocie, Snabel i Bartlett będą ich szukać w miejscach, stanowiących turystyczne atrakcje. Tak więc postanowili obejrzeć wszystko, co było do obejrzenia w Nowym Jorku, starając się przy tym zachowywać w sposób możliwie najbardziej rzucający się w oczy. Bob miał zawsze nosić przy sobie torbę ze sprzętem fotograficznym i grzebać w niej jak najczęściej, upuszczając niby to przypadkiem na ziemię rolki z filmami tak, aby dać do zrozumienia przygodnym widzom, że ma ze sobą sporo gotowych do wywołania kaset.

Plan był logiczny, toteż chłopcy starali się wypełnić go co do joty. W pierwszym dniu zwiedzania odbyli rejs turystycznym stateczkiem wokół Manhattanu, a po południu obejrzeni siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych. W przyływie szczodrości dziadek Peck zafundował chłopcom kolację na świeżym powietrzu w restauracji położonej na dachu pobliskiego hotelu. Obserwującym rozciągające się w dole morze światła gościom umiłał czas pianista, grający melodie z modnych musicali. Aż tu uszu chłopców dochodził szum wielkiego miasta.

Następnego dnia wyszli z hotelu bardzo wczesnie rano i pojechali metrem do Brooklynu, aby poprobać emocjonującej jazdy górską kolejką na Coney Island. Po błyskawicznej wizycie w pobliskim Akwarium, Jupe posmakował swych pierwszych *knishes* - rodzaj pasztecików nadziewanych ziemniakami z cebulą i serem.

- Muszę powiedzieć o tym cioci Matyldzie - powiedział oblizując usta.

Następnie nasi turyści zwiedzili Statuę Wolności i zakończyli dzień kolacją na szczycie World Trade Center. Znajdowali się tak wysoko, że mogli podziwiać w trakcie jedzenia przelatujące poniżej nich małe samoloty. Pete był tak zafascynowany, że nie wiedział, na co najpierw obrócić oczy i omal się nie udławił. Czegoś takiego, przemknęło mu przez głowę, nie dałoby się zobaczyć w Rocky Beach.

Takie samo niezmordowane tempo zachowali również trzeciego dnia. Przewędrowali zabytkową Greenwich Village na Manhattanie, a na lunch zatrzymali się w chińskiej dzielnicy.

Po lunchu pan Peck przeczytał głośno karteczkę, którą znalazł w zjedzonym przed chwilą przez siebie "ciastku szczęścia": **DZIŚ WIECZOREM BĘDZIESZ MIAŁ SZCZĘŚCIE W MIŁOŚCI.** Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Potem był koncert zespołu Rockettes w sali koncertowej Radio City. Kolację zjedli u Lindy'ego, a jej ukoronowaniem była pierwsza degustacja nowojorskich serników. Wróciwszy do hotelu wyczerpani chłopcy zwalili się do łóżek i z miejsca pogrążyli się w kamiennym śnie.

Czwartego dnia przyszła kolej na Metropolitan Museum of Art i długi spacer po Central Park. Wygrzewali się w słońcu na parkowej ławce i zjadali sandwicze *souvlaki* - kawałki mięsa z jagnięcia zawinięte w specjalny placek - kupione na ulicznym wózku. Potem dokończyli zwiedzania znajdującej się po tej stronie parku części Museum of Natural History.

W trakcie tych beztrudnych wędrówek zauważyli, że przez cały czas kręcił się w pobliżu nich jakiś młody człowiek w brązowym sweterku i luźnych, szarych spodniach. Kiedy go nie było, zastępował go mocno zbudowany, krępy osobnik o rumianej twarzy, ubrany w marynarską bluzę.

- Ludzie z FBI - stwierdził Bob. - Mając ich za plecami, czuję się znacznie lepiej.

- Pewnie z przyjemnością założyliby kajdanki temu kumpłowi Snabela - dodał Pete. - To musi być jakiś niebezpieczny międzynarodowy szpieg.

- Nie dajcie się ponieść wyobraźni - powiedział pan Peck. W chwilę potem dodał jednak: - Myślę, że ci faceci z FBI mają otwarte oczy i uszy.

Rankiem tego dnia pan Peck zwłókł się z łóżka znudzony i zdrętwiały. Widząc go w tym stanie Pete powiedział:

- Dziadku, dlaczego nie poleżysz sobie jeszcze trochę? Zadzwonimy, żeby przynieśli śniadanie na górę. Wybij sobie z głowy tego Snabela. On nas tu nigdy nie znajdzie.

- Ale gdyby mu się to udało - odparł pan Peck - wolę nie ryzykować pozbawienia go takiej szansy. Nigdy w życiu!

Pełen uznania dla wytrwałości starszego pana Jupe wyszczerzył wesoło zęby.

- Dziś musi się wreszcie coś wydarzyć - dodał pan Peck. - Czuję to w kościach.

Tak więc późnym popołudniem znaleźli się tu, przed wejściem do muzeum. Aż dotąd nic się jednak nie wydarzyło. W pobliżu kręcił się młodzieniec w brązowym swetrze. Niższy od niego mężczyzna w marynarskiej bluzie stał przy krawężniku, zajadając porcję lodów w waflach, kupioną od ulicznego sprzedawcy. Miał śmiertelnie znudzoną minę.

- Widocznie nie tak łatwo nas wytropić - powiedział Pete. - To jest ogromne miasto i Snabel nie bardzo wie, gdzie nas szukać. Musimy zrobić coś naprawdę zwracającego uwagę, na przykład zacząć się wspinać po ścianach Empire State Building albo próbować przepłynąć wpływ rzekę Hudson. Dopiero po czymś takim zostalibyśmy zauważeni. Gdyby pokazali nas w telewizji, Snabel nie mógłby nas nie dostrzec.

- Twoja mamuśka urwałaby mi głowę - stwierdził pan Peck.

- Pewno tak by było - odciął się Pete - ale wszystko ma swoją cenę.

Twarz Jupe'a rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

- Telewizja to jest to! - powiedział cicho.

- Słucham? - zapytał Bob.

- Och! - mruknął Pete. - Sam pomysł jest może świetny. Ale nie wymyśl przypadkiem czegoś przekraczającego nasze siły, Jupe. Ja tylko żartowałem z tym Empire State Building.

- To nie powinno zbyt nachalnie rzucać się w oczy - stwierdził Jupe. - Już może lepszy by był jakiś telewizyjny quiz. Albo reportaż z jakiegoś ważnego wydarzenia, nadany w dzienniku.

- Co byś powiedział o otwarciu nowego hotelu? - spytał Bob. - Czytałem w gazecie, że w Nowym Jorku ma się odbyć taka uroczystość. Hotel nazywa się "New Windsor". Otwarcie go budzi spore zainteresowanie, ponieważ został zbudowany w miejsce starego hotelu, który spalił się kilka lat temu. A w tamtym starym zatrzymywało się wielu sławnych pisarzy i artystów w czasie ich wizyt w Nowym Jorku. Zdaje się, że szykują wielką fetę. Nie jest wykluczone, że będzie na niej także gubernator.

- Na kiedy zaplanowali otwarcie? - zapytał Jupe.

- Na jutrzejszy wieczór - odparł Bob. - Jeżeli będzie na nim gubernator, telewizyjna transmisja jest murowana.

Jupe kiwnął potakująco głową.

- FBI byłoby z pewnością w stanie załatwić nam zaproszenia - powiedział. - A gdybyśmy mogli przenieść się do tego hotelu, byłoby to nawet lepiej niż tylko brać udział w przyjęciu. Snabel i Bartlett wiedzieliby dokładnie, gdzie nas szukać.

Jupe podniósł się i podszedł prosto do mężczyzny w marynarskiej bluzie.

- Czy istnieje możliwość, żeby Federalne Biuro załatwiło nam zaproszenia na otwarcie hotelu "New Windsor" jutro wieczorem? - zapytał bez żadnych wstępów.

Mężczyzna był tak zaskoczony śmiałością Jupe'a, że upuścił lody na chodnik.

- Z pewnością będą tam robić telewizyjny reportaż dla dziennika - wyjaśnił Jupiter, nie mrugnawszy nawet okiem na lody, które rozpryskały się na butach mężczyzny. - Gdyby prowadzący reportaż zrobił z nami wywiad, jeden z nas mógłby powiedzieć, że mieszkamy w tym hotelu. Dzięki temu Edgar Snabel wiedziałby, gdzie nas szukać. A pan przestałby się wreszcie nudzić tym łażeniem za nami jak cień po całym Nowym Jorku.

Agent FBI odzyskał tymczasem zimną krew. Wziął głęboki oddech i stwierdził, że nie ma pojęcia, o co właściwie Jupe'owi chodzi. Potem zrobił krótką pauzę i skinął potakująco głową.

- Damy wam znać - uciął krótko i oddalił się spieszonym krokiem.

Jupe wrócił do swych przyjaciół.

- Powiedział, że dadzą nam cynk - oznajmił.

- A tymczasem zostawił nas tu samych i bezbronnych - powiedział pan Peck.

- Dziadku, nie zachowuj się jak bezradne dziecko - odezwał się z wyrzutem w głosie Pete. - Jesteś mniej więcej tak samo bezbronny, jak czołg typu Sherman. Gdyby temu Snabelowi udało się ciebie dopaść, znalazłby się w ciężkich opałach.

Uwaga ta wyraźnie poprawiła humor panu Peckowi, który uparł się, aby cała czwórka wróciła do "Riverview Plaza" odkrytą dorożką.

Telefon zadzwonił dopiero późnym wieczorem i po słuchawkę sięgnął pan Peck. Dzwonił pan Anderson, który zasugerował, aby chłopcy zaczęli się już pakować przed jutrzejszymi przenosinami do hotelu "New Windsor".

- Czy macie jakieś ciemne ubrania albo bluzy? - spytał Anderson. - Macie wystąpić w

telewizji, więc dobrze by było, gdybyście wyglądali tak, jakbyście przyjechali do Nowego Jorku, żeby wziąć udział w jakimś eleganckim przyjęciu.

- Och! - jęknął pan Peck, zupełnie tym zaskoczony.

- Niech się pan tym nie przejmuj - pocieszył go Anderson. - Postaramy się podrzucić coś stosownego.

Hotel "New Windsor" został dopiero co wykończony. Nowy, przestronny główny hol pachniał farbą olejną i szelakiem. Kelner obsługujący pokoje, którego Bob spotkał koło windy, szukał drogi przy pomocy małego, drukowanego planu poszczególnych pięter. Przydzielony panu Peckowi i chłopcom apartament był mniejszy niż w "Riverview", ale znajdował się za to na trzydziestym drugim piętrze, i z sypialni pana Pecka można było podziwiać piękną panoramę East River.

Kiedy koło piątej po południu cała czwórka znalazła się w nowym budynku, w holu instalowali się właśnie telewizyjni kamerzyści. A gdy w niespełna dwie godziny później pan Peck zwiózł z powrotem na dół chłopców, wystrojonych w prezentujące się przyjemnie niebieskie bluzy dostarczone przez FBI, obszerne wnętrza wypełnione było jaskrawym światłem reflektorów. Przy recepcyjnej ladzie czekał na nich pan Anderson, który następnie przedstawił ich prezwenterowi, mającemu prowadzić galowy wieczór z ramienia stacji telewizyjnej.

Konferansjer okazał się wysokim, przystojnym mężczyzną, zwracającym uwagę białymi zębami i starannym uczesaniem. Uścisnął dłoń pana Pecka, wpatrując się w przestrzeń gdzieś ponad lewym uchem starszego pana. Następnie obszedł go bokiem, aby powitać jakąś panią, która ukazała się właśnie w obrotowych drzwiach wejściowych. Dama owa miała na sobie żakiet wyszywany błyszczącymi cekinami i rojem mieniących się jak Droga Mleczna sztucznych diamencików.

Zapaliło się czerwone światełko na telewizyjnej kamerze. Stojący nieco z boku mężczyzna ze słuchawkami na uszach dał znak konferansjerowi, który rozpoczął galę stwierdzeniem, że znajduje się właśnie w holu hotelu "New Windsor" wraz z panią Jasper Harrison Wheatly, która przyleciała aż z Rzymu, aby wziąć udział w uroczystym otwarciu nowego hotelu.

Nie wyjaśnił przy tym, dlaczego obecność pani Weathley jest tak ważna. Chłopcom przyszło na myśl, że nawet jeśli oni sami nie mają o tym pojęcia, to wszyscy inni z pewnością wiedzą, kim jest ta pani i co sobą reprezentuje. Jej uśmiech był tak wysilony, że Pete'owi przeleciało przez głowę, czy przypadkiem jej twarz nie dozna od tego jakiegoś szwanku. Powiedziawszy kilka słów, wytworna dama majestatycznie oddaliła się w głąb holu.

Nagle konferansjer zbliżył się do pana Pecka i chłopców. Wyciągnął rękę w powitalnym geście i kamera z zapalonym czerwonym światełkiem podążyła za nią.

- A oto pan Bennington Peck! - wykrzyknął, tak jakby sam czuł się zaskoczony tym spotkaniem. - Nasz bardzo szczególny gość, który po to, aby wziąć udział w tym wydarzeniu, przemierzył całe Stany Zjednoczone!

Pan Peck wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, skierowanym do kamery. Chwycił dłoń konferansjera i nie wypuścił jej ze swej dotąd, dopóki telewidzowie nie dowiedzieli się, że on i jego małżonka, niech odpoczywa w spokoju, zawsze zatrzymywali się w dawnym hotelu "Westmore", kiedy jeszcze stał na tym miejscu.

- Nasz miesiąc miodowy... - ciągnął z entuzjazmem.

- W hotelu "Windsor" - poprawił go konferansjer. - Tak, tak było.

Próbował przy tym uwolnić swoją rękę z dłoni pana Pecka, bez skutku jednak.

- Jak powiedziałem, "Windsor" - nawijał grzmiącym głosem pan Peck. - Tak, bywaliśmy tu często. Kiedy spalił się stary "Westchester" - powiedział unosząc do góry głowę - wiadomość ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, ale nowy budynek prezentuje się wspaniale. Ściany są wprawdzie jeszcze trochę wilgotne, ale wyschną piorunem, jak tylko włączą choć trochę ogrzewania. Chłopcy i ja - w tym samym momencie kamera skierowała się na roześmiane twarze Jupe'a, Boba i Pete'a - czujemy się tu pod każdym względem wyśmienicie i nie ruszymy się stąd przynajmniej do końca tygodnia. Przy wprowadzaniu się tutaj przeżyliśmy emocje, jakich nie doznaliśmy od przejażdżki górską kolejką na Coney Island.

W tym momencie konferansjerowi udało się wreszcie uwolnić dłoń z żelaznego uścisku pana Pecka. Odstąpił krok do tyłu, wciąż z profesjonalnym uśmiechem na twarzy, a potem podziękował panu Peckowi i chłopcom, no i było po wszystkim.

Ocierając czoło chusteczką, pan Peck chwiejnym krokiem odszedł na bok.

- Dobrze wypadłem? - zapytał. - Co ja właściwie mówiłem?

- Byłeś wspaniały, dziadku - powiedział bijąc brawo Pete. - Powiedziałeś dokładnie to, co trzeba było powiedzieć, a w dodatku zrobiłeś to płynnie i głośno!

- To świetnie! - stwierdził pan Peck. - Tak właśnie, żeby ten nędznik Snabel wiedział, gdzie może nas znaleźć.

Ponieważ nie zostali zaproszeni na wielką kolację i przyjęcie zaplanowane w ogrodzie urządzonym na dachu hotelu, pan Peck zabrał chłopców do szwedzkiej restauracji, żeby coś przekąsili, i jeśli nawet zauważył, że stojący z boku pan Anderson śmieje się w kułak, udał, że tego nie dostrzega. Wykonał swoje zadanie.

Ile też czasu zajmie teraz Snabelowi odnalezienie ich w nowym hotelu?

Rozdział 17

W potrzasku!

Kiedy następnego ranka pan Peck zszedł do hotelowej kawiarni, chłopcy kończyli już jeść śniadanie. Starszy pan był poprzedniego wieczoru na nogach aż do północy, ponieważ chciał obejrzeć swój wywiad, włączony dopiero do nocnego wydania telewizyjnych wiadomości. Zająwszy miejsce przy stole tuż obok Pete'a, oświadczył z wyraźnym zadowoleniem, że reportaż został powtórzony także w dzienniku porannym.

Rozejrzawszy się po kawiarni, posłał parę promiennych uśmiechów siedzącym w niej gościom hotelowym, tak jakby spodziewał się, że za chwilę zaczną ustawiać się w kolejce po jego autograf. Przy stoliku zjawił się kelner z jadłospisem, ale także i on nie wydawał się rozpoznawać pana Pecka.

- Kawa - zadysponował. - Naleśniki. Dwa jajka na wolnym ogniu, z boczkiem.

- Dziadku, tyle cholesterolu! - jęknął Pete.

- Co cię obchodzą moje tętnice? - rzucił oschle pan Peck. - Mamy przed sobą wspaniały dzień i muszę się porządnie posilić.

Ale ów wspaniały dzień nie miał wcale ochoty urzeczywistniać się zaraz po śniadaniu. Chłopcy rozsiedli się w głównym holu. Bob ostentacyjnie bawił się swoim aparatem i torbą na akcesoria. Rządowy agent w niebieskiej bluzie kręcił się bez celu po sklepie z pamiątkami, a jego kolega w brązowym sweterku przeglądał ilustrowane czasopisma, wyłożone w stoisku z gazetami.

- No, Snabel, ruszaj się - mruknął pan Peck. - Jesteśmy gotowi.

Nic się jednak nie wydarzyło. Mijały kolejne kwadransy, a nawet godziny, i nic.

Około jedenastej pan Peck zaczął się porządnie niecierpliwić. O jedenastej trzydzieści przypominał już kipiący czajnik.

- To po prostu śmieszne! - powiedział w końcu. - Chyba nie będziemy tu siedzieć przez cały rok? Ten dureń nie oglądał mojego wywiadu! Ignorant! Nie ogląda nawet dziennika, żeby być na bieżąco z tym, co się dzieje!

W chwilę potem uśmiechnął się chytrze.

- Dziś po południu na Yankee Stadium będą dwa mecze baseballowe, jeden po drugim - oznajmił chłopcom. - Co wy na to?

- Ależ, dziadku, moglibyśmy wszystko popsuć - zaproponował Pete. - Jeżeli Snabel i tej jego kompan obejrzeliby jednak wywiad, będą nas szukać tutaj.

- A może raczej na ulicy - odparł pan Peck. - Robimy błąd, siedząc tu bez ruchu. Powinniśmy wyjść na dwór i dać im szansę pójścia naszym tropem, jak przystało takim zmijowatym typom.

- Myślę, że nie powinniśmy obawiać się tego, że się z nimi rozminiemy - odezwał się Jupe. -

Jeżeli przyjdą tu w czasie naszej nieobecności, to na pewno zaczekają. Albo wrócą kiedy indziej. Gonili nas przez całą Amerykę, żeby odzyskać ten film, i na pewno nie zamierzają poddać się teraz.

Tak więc sprawa została postanowiona. Pan Peck zebrał swoją gromadkę, a potem zapytał w informacji, jaką kolejką metra można dojechać do Yankee Stadium.

Około południa cała czwórka wyszła z hotelu, aby udać się na odległą o dwie przecznice stację metra. Przydzieleni im rządowi agenci pomaszerowali za nimi, o kilkadziesiąt kroków z tyłu. Po wejściu na peron przepuścili nadjeżdżający właśnie pociąg, aby umożliwić ochroniarzom zabranie się razem z nimi. W następnej kolejce, która dowiozła ich do sportowego parku w Bronx, chłopcy zajęli miejsca w jednym końcu wagonu, natomiast agenci ulokowali się w drugim. Pan Peck chodził z zadowoloną miną tam i z powrotem, przyglądając się nabazgranym na ścianach napisom.

Znalazłszy się na stadionie, postanowili udawać nowojorczyków i kibicować miejscowej drużynie. Z satysfakcją przyjęli końcowy gwizdek pierwszego meczu, wygranego właśnie przez jankesów.

W przerwie pan Peck zafundował chłopcom hot-dogi z musztardą i kiszoną kapustą. Następnie zasiedli do obejrzenia drugiego meczu. Tym razem przyjezdna drużyna pokonała jankesów, których pożegnały gwizdy i drwiące okrzyki. Było też trochę oklasków wiernych kibiców Bronxu. Mimo porażki tutejszej drużyny cała czwórka podniosła się ze swych miejsc z uczuciem odprężenia.

Wychodzący ze stadionu kibice zablokowali wszystkie wyjścia. Pan Peck i chłopcy wolniutko przesuwali się do przodu, mając wokół siebie tysiące opuszczających stadion widzów. W końcu dotarli do stacji metra, która tu znajdowała się nie pod ziemią, lecz na idącej górą estakadzie. Mimo poszturchujących go ze wszystkich stron ludzi, pan Peck z przyjemnością wdychał wieczorny wietrzyk.

Kiedy z ogłuszającym łoskotem nadjechał pociąg kierujący się w stronę Manhattanu, pan Peck i chłopcy zostali po prostu wtłoczeni do środka przez tłum baseballowych fanów. Dopiero gdy zamknęły się drzwi i kolejka ruszyła, Pete dojrzał agenta w brązowym sweterku. Stał na samym brzeżku peronu wciśnięty w ciżbę kibiców, których nowa fala dotarła właśnie na stację, i wpatrywał się w okna mijającego go właśnie wagoniku. Przez chwilę jego wzrok prześlizgiwał się po twarzy Pete'a. Kolejka zaczęła nabierać szybkości i w parę minut później peron ze stojącym na nim agentem FBI został z tyłu.

Pete stał zaklinowany między jakimś krzepkim facetem w sportowej kurtce w kratę i kilkunastoletnim chłopakiem, który bujał się bezustannie, nie próbując nawet złapać się jakiegś poręczy, i bez przerwy zajadał orzeszki ziemne. Pete odwrócił się plecami do poruszającego się szczękami chłopaka i prześliznął się bliżej Jupe'a, który stał uwieszony na metalowym uchwycie.

- Zgubiliśmy naszych ochroniarzy - powiedział Pete do kolegi. - Kiedy kolejka ruszyła, zobaczyłem tego w sweterku na peronie.

- Ochroniarzy? - odezwała się jak echo chuda kobieta w fioletowym kapelusiku bez ronda, przypominającym turban. Stała przyciśnięta przez kołyszający się w czasie jazdy tłum do Jupe'a, ale

mówiła tak głośno, że można ją było pewno usłyszeć w sąsiednim hrabstwie. - Macie własnych goryli? To ci historia! Wieciecie coś, co wymaga ochrony?

Kobieta zaczęła chichotać tak, jakby powiedziała coś niesamowicie śmiesznego. Paru innych pasażerów roześmiało się także. Zaczęli z zainteresowaniem spoglądać w jej stronę.

W oczach Jupe'a zamigotały nagle figlarne iskierki.

- Nie przejmuj się tym - powiedział do Pete'a. - Nie potrzebujesz już tego faceta, który łąził za tobą jak cień. Zdaje się, że okres wylęgania minął wczoraj.

Koścista kobieta zdrętwiała. Na jej twarz momentalnie wrócił wyraz ostrożnej rozwagi.

- Okres wylęgania? - pisnęła przeraźliwym tonem. - Wylęgania czego? Złapałeś jakąś zaraźliwą chorobę?

- Nie, nic podobnego! - powiedział Pete. - On tylko żartował.

Jego wyjaśnienie odniosło tylko taki skutek, że kobieta stała się jeszcze bardziej podejrzliwa. Odsunęła się w bok i wysiadła na najbliższym przystanku.

W miarę zbliżania się do Manhattanu kolejkę opuszczało coraz więcej osób. Zrobiło się luźniej, toteż do obu chłopców mógł już precyzyjnie się pan Peck, stojący dotąd razem z Bobem nieco dalej.

- Pete widział na peronie jednego z agentów, któremu nie udało się wsiąść - powiedział Jupe panu Peckowi. - Jesteśmy bez ochrony.

- Nic wielkiego - odparł pan Peck. - Nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie. Gdyby Snabel i jego kumple kręcili się tu gdzieś w pobliżu, już dawno byśmy ich zauważyli.

Uwaga była słuszna. Chłopcy mieli teraz w zasięgu wzroku cały wagon. Żaden z pasażerów nawet w przybliżeniu nie przypominał Snabela ani jego współnika.

Wysiedli przy czterdziestej drugiej ulicy. Pan Peck spostrzegł tunel, który mógł doprowadzić ich ze stacji prawie do samego hotelu. Jego wnętrze było mroczne i niezbyt zachęcające. Chłopcy spojrzeli pytająco po sobie, potem jednak wzruszyli ramionami i pospieszyli za dziadkiem Peckiem, który nie oglądając się za siebie pomaszerował jako pierwszy. W połowie długości tunelu usłyszeli jakieś wołanie.

- Ben Peck, czy to pan? - ozwał się obcy głos.

Tunel był całkowicie opustoszały, jeśli nie liczyć jednej jedynej osoby - jakiegoś mężczyzny, który uśmiechając się szedł w ich kierunku. Jego sylwetka wydawała się niższa i może także bardziej otyła od tej, którą zapamiętali. Mężczyzna miał bowiem na sobie przeciwdeszczową pelerynę, która fałdziście opadała mu z ramion.

- Snabel! - krzyknął pan Peck.

- Jak miło zobaczyć pana znowu - powiedział Snabel. - Nie widzieliśmy się tak dawno!

W tunelu było tak cicho, że chłopcy słyszeli kapiącą gdzieś wodę. Nagle jakiś głos rozległ się także za ich plecami:

- Bądź tak uprzejmy i podaj mi tę torbę.

Należał on do eleganckiego faceta, którego widzieli w Monterey. W jego dłoni błyszczał wycelowany w Boba rewolwer.

Bob bez namysłu podał mu swój fotograficzny neseserek. Mężczyzna otworzył go błyskawicznie i zajrzał do środka, aby się upewnić, czy są tam kasety z filmami. A potem skinął głową w stronę Snabela.

- W porządku - zwrócił się do pana Pecka i trójki detektywów. - Do środka. Wszyscy.

Jego pistolet skierowany był teraz w stronę drzwi w ścianie tunelu. Stał już tam Snabel z kłódką w ręku. Za drzwiami znajdowało się małe, wilgotne pomieszczenie, pełne mioteł, gąbek i pojemników ze środkami dezynfekującymi.

- Włazić do środka! - rzucił facet z rewolwerem.

Nie ociągając się cała czwórka weszła do pomieszczenia. W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się za nimi. Usłyszeli odgłosy zamykania na kłódkę mocującego drzwi skobla. A potem oddalające się kroki.

- Ratunku! - krzyknął Pete. - Niech ktoś nas stąd uwolni!

Rozdział 18

Nie ma ucieczki dla zdrajcy

Minęło sporo czasu, zanim pan Peck i chłopcy zostali uwolnieni przez dozorcę, pilnującego ulicznych automatów. Dozorca, powiadomiony przez jakiegoś przechodnia, który usłyszał dochodzące ze schowka stłumione łomotania i krzyki, wezwał policjanta, patrolującego pobliskie ulice. Kiedy ten ostatni zabrał się do przesłuchania poszkodowanych, pan Peck poprosił go, aby udał się razem z całą czwórką do hotelu. Stamtąd zadzwonił do pana Andersona.

Pan Anderson przybył prawie natychmiast. Sprawiał wrażenie człowieka zupełnie nie zaniepokojonego obrotem sprawy.

To jeszcze bardziej rozwścieczyło pana Pecka.

- Więc to jest cała zapłata za nasze wysiłki! - wykrzyknął. - Narazamy się na utratę życia. Robimy wszystko, żeby pomóc wam w złapaniu niebezpiecznych szpiegów. A kiedy oni połykają wreszcie przynętę, gdzie są wasi ludzie? Śpią na stojąco na jakimś przystanku metra! Tak, dokładnie tak!

- Ma pan całkowicie słusność, panie Peck - oświadczył Anderson.

Pan Peck opowiedział teraz o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Przez dłuższą chwilę opisywał uwięzienie w cuchnącym, pozbawionym dopływu powietrza schowku, wypchanym mokrymi ścierkami i miotłami.

- To po prostu skandal! - wykrzyknął na zakończenie swej relacji.

- Tak, to rzeczywiście skandal - przytaknął pan Anderson. - Coś takiego nie powinno było się wydarzyć.

Wyrzuciwszy z siebie to wszystko, pan Peck poczuł się dużo spokojniejszy. Usiadł, dopuszczając do głosu pana Andersona.

- Nasi agenci - powiedział funkcjonariusz FBI - pilnują wszystkich dróg wyjazdowych z Nowego Jorku - lotnisk, stacji kolejowych i autobusowych, tuneli, mostów, nabrzeży. Mamy dużą szansę na to, że ci dwaj ludzie zostaną złapani już przy pierwszej próbie opuszczenia miasta.

- A jeśli nie będą próbowali się wymknąć? - zapytał Ben Peck. - Czy mamy nadal siedzieć tu beczynn timer, wystawiając się jak bezbronne kaczki?

- Absolutnie nie - odparł agent. - Cała ta sprawa, przynajmniej w odniesieniu do pana i chłopców, już się skończyła. Tamci dwaj nie będą was już niepokoić. Snabel osiągnął swój cel, ponieważ doprowadził do przekazania swego filmu. A kiedy jego wspólnik stwierdzi, że otrzymał jedynie bezwartościową atrapę, domyśli się, że zdjęcia, o które mu chodziło, są w naszych rękach. Będzie musiał uznać własną porażkę i dojść do wniosku, że wygraliśmy, zanim jeszcze stało się coś złego.

- Ale na wolności znajduje się nadal dwóch szpiegów - rzucił oschle Ben Peck. - Powiedziałbym, że nie jest to zbyt komfortowa sytuacja.

Pan Anderson uśmiechnął się.

- Edgar Snabel nie będzie już pana więcej szpiegował, ponieważ nie będzie miał żadnej możliwości uprawiania tego procederu. Pan go zdemaskował, panie Peck, i może pan być z tego dumny. Gdyby próbował podjąć pracę w jakimkolwiek zakładzie przemysłu obronnego, zostaną sprawdzone odciski jego palców. Jeśli więc okaże się na tyle szalony, aby zgłosić się pod fałszywym nazwiskiem, natychmiast wpadnie nam w ręce. Najprawdopodobniej jednak nie podejmie najmniejszej próby w tym kierunku. Teraz, kiedy wie, że jest przez nas ścigany, będzie próbował usunąć się gdzieś i zdobyć nowe dokumenty tożsamości w jakimś innym stanie.

- A co z tym żmijowatym elegancikiem, który miał z nim kontakt? Z Bartlettem? - zapytał pan Peck. - Przecież on także może próbować jakichś nowych szpiegowskich akcji.

- Jeśli nie zostanie przez nas ujęty, prawdopodobnie będzie rzeczywiście próbował działać nadal - odparł pan Anderson. - Ale wciąż go poszukujemy, i to bardzo usilnie. A tymczasem jesteśmy bardzo wdzięczni panu, panie Peck, i wam, chłopcy, za pomoc, jakiej nam udzieliliście. Proszę, abyście nie myśleli, że był to jakiś drobiazg. Wręcz przeciwnie.

Rzekłszy to, pan Anderson wyszedł. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, w pokoju zapadło kłopotliwe milczenie.

- Przecież to całkiem nie ma sensu! - wybuchnął wreszcie Pete.

Jupiter przytaknął mu poważnym skinieniem głowy.

- To tak, jakby się chciało spać w nie posłanym łóżku - powiedział. - Człowiek ma ochotę wstać i uporządkować pościel.

Sprawa wyglądała rzeczywiście beznadziejnie. Nie było żadnego sposobu, aby Trzej Detektywi mogli uporać się z tym samodzielnie. Nie przychodziło im do głowy nic, co mogłoby naprowadzić ich na ślad Snabela i jego eleganckiego kompana Bartletta. Chcąc nie chcąc, musieli spocząć na laurach i spróbować jak najlepiej wykorzystać resztę pobytu w Nowym Jorku, a pan Peck skupił swą uwagę na sprawach związanych z wynalazkiem, które skądinąd w pierwszym rzędzie skłoniły go do podjęcia całej podróży.

Już następnego ranka pan Peck wyszedł wcześniej rano i nie było go przez cały dzień. Kiedy pod wieczór wrócił do hotelu, oznajmił tajemniczo, że nawiązał pewne "kontakty" i że sprawy zdają się "iść do przodu".

Następnie zlecił zrobienie przeglądu i nasmarowanie forda tak, żeby był gotowy do długiej drogi powrotnej.

Także przez kilka następnych dni pan Peck znikał rano i wracał do hotelu wieczorem. Chłopcy zostali więc zostawieni samym sobie. Pojechali obejrzeć z bliska odremontowany lotniskowiec, stojący na cumach na rzece Hudson, zwiedzili Hayden Planetarium, pojechali napowietrznym tramwajem na wyspę Roosevelta, obeszlili całe Rockefeller Center i kupili trochę pamiątkowych drobiazgów. Czwartego dnia po niefortunnym spotkaniu ze Snabelem zobaczyli kobietę, idącą ze storczykiem w rękę.

Zdarzyło się to na rogu szóstej alei i trzydziestej ulicy. Niesiony przez nią w doniczce storczyk był okazem piękności, o trzech gronach bladozielonych i brązowawych kwiatów.

- Hej, widzieliście to? - odezwał się Bob.

- Bombowy! - powiedział Pete.

Jupiter natomiast nie byłby Jupiterem, gdyby nie zareagował w sposób, którego kobieta nie mogła zignorować. Ukłonił się i zapytał:

- To jest cymbidium, prawda? Poznają po tych kwiatach, podobnych do łodzi.

Kobieta rozpromieniła się.

- Znasz się na storczykach? - zapytała. - Czyż on nie jest piękny? Jesteś może hodowcą?

- Mój wuj Egbert hoduje storczyki - odparł bez mrugnięcia okiem Jupe. Popełnił to małe kłamstwo z właściwą sobie pewnością siebie, nie budząc żadnych podejrzeń.

- Mam zajęte popołudnie, więc muszę zostawić go na parę godzin w mieszkaniu córki - powiedziała kobieta. - A wieczorem przedstawię go na pokazie. Mam nadzieję, że zdobędę w końcu nagrodę.

- Zastanawiałem się właśnie... - powiedział Jupiter. - Czy gdzieś w mieście organizują może wystawę storczyków?

- No, to nie jest duża wystawa - odparła kobieta - ale zwykle comiesięczne spotkanie miejscowych hodowców. Będzie przemawiał sir Clive Stilton. On jest takim znawcą! Może i ty byś przyszedł? Jest tam zawsze stół z sadzonkami i można wylosować którąś z nich. Mógłbyś ją dać twojemu wujowi. Mieszkasz w Nowym Jorku?

- Nie - odpowiedział Jupiter. - W Kalifornii.

Kobieta wręczyła Pete'owi doniczkę ze storczykiem i otworzyła torebkę. Wyjęła z niej kartkę i napisała na niej adres.

- O ósmej w Statler Royal - powiedziała. - Wpadnij koniecznie. Twój wuj będzie zachwycony, kiedy się dowie, że oglądałeś sir Clive'a Stiltona. Jeden z naszych członków nagra jego wystąpienie na taśmę. Będziesz mógł zamówić kopię, jeżeli cię to zainteresuje.

Udzieliwszy tych informacji, kobieta wzięła doniczkę w ręce i odeszła. Jupe spojrział na kartkę. Kobieta nazywała się Helen Innes McAuliffe i mieszkała w Riverdale w stanie Nowy Jork, natomiast spotkanie miało się odbyć na siódmej alei, między trzydziestą i czterdziestą ulicą.

- Czy przyszło wam do głowy, że jeśli spotkanie tych miłośników storczyków zostało zapowiedziane w gazetach, Snabel mógł przeczytać ogłoszenie? - spytał Jupe.

- Pomyślałem o tym, jak tylko zaczęłaś rozmowę z tą panią - powiedział Bob. - Przypuszczasz, że Snabel wciąż jeszcze jest w Nowym Jorku? A jeśli nawet, to czy zaryzykowałby pójście na taką imprezę? Wiesz przecież, że stara się trzymać gdzieś na uboczu.

- Kto to może wiedzieć - stwierdził w zamyśleniu Jupe. - Jeżeli ciągle tu jest, to musi przecież coś robić z nadmiarem wolnego czasu, a pan Peck twierdzi, że storczyki to jedyna rzecz, jaka naprawdę go obchodzi.

- To rzeczywiście jest jakaś szansa - włączył się Pete. - Może się tam zjawi. A poza tym, co mamy do stracenia?

Przez chwilę chłopcy zastanawiali się, czy nie byłoby dobrze poprosić pana Pecka, aby poszedł na odczyt razem z nimi. Pete był przeciwny temu pomysłowi.

- Napady wściekłości muszą mieć zły wpływ na jego ciśnienie krwi - powiedział - a jeśli Snabel rzeczywiście się tam pojawi, dziadek wścieknie się tak, jak mu się to nie przytrafiło nigdy dotąd.

- A co będzie, jeśli pójdziemy sami, a on dowie się później, gdzie byliśmy? - zapytał Bob.

Pete skrzywił się lekceważąco. Wciąż jeszcze niezdecydowani wrócili do hotelu. W recepcji czekała na nich wiadomość od pana Pecka, który informował ich, że będzie zajęty aż do późnych godzin wieczornych. Starszy pan polecił im, aby zjedli kolację bez niego, a potem, jeśli mają na to ochotę, poszli do kina.

Tego wieczoru kolacja upłynęła im wesoło w położonym niedaleko hotelu barze, słynnym z serwowania największych i najlepszych sandwichów w całym Nowym Jorku. Pod koniec nawet Jupiter poczuł, że jest opchany aż po dziurki w nosie. Po dotarciu autobusem na miejsce, pojechali windą do wielkiej sali balowej, znajdującej się na dwunastym piętrze.

Wielka sala balowa w rzeczywistości wcale nie wydała im się taka znowu ogromna. Hotel Statler Royal był starą budowlą, okrywający podłogi czerwony dywan miał wiele wytartych miejsc, a kryształowe żyrandole pokrywała warstwa kurzu. Po wyjściu z windy powitał chłopców jakiś zażywny mężczyzna w białej koszuli, o bliżej nie określonym wschodnim kroju. Nosił przypiętą do niej kartkę z nazwiskiem, z której chłopcy dowiedzieli się, że pan Walter Bradford pochodzi z Syosset. Mężczyzna był zachwycony tym, że chłopcy interesują się storczykami, i zapewnił Jupitera, że będzie on mógł bez trudu zdobyć taśmę z wykładem sir Clive'a dla swego wuja Egberta.

- Sir Clive będzie omawiał problem dziedziczenia cech - objaśnił pan Bradford. - A także znaczenie doboru odpowiednich roślin rodzicielskich. Wykład powinien być strasznie ciekawy.

Pete i Bob spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

Pan Bradford przeprosił ich i pobiegł z powrotem do windy, aby przywitać nowo przybyłych. Trzej Detektywi zabrali się do studiowania rozkładu dwunastego piętra.

Większą część jego powierzchni zajmowała sala balowa. Wchodziło się do niej z korytarza, w którym znajdują się dwie windy obsługujące hotelowych gości. Tuż za windami widać było drzwi otwierające się na klatkę schodową. Po prawej stronie korytarza mieściły się pokoje bankietowe, a w głębi, po lewej, służbowa winda, za którą chłopcy zobaczyli mały pokoik gospodarczy. Na samym końcu korytarza ujrzeni ciężkie drzwi. Mogło się wydawać, że także one prowadzą na klatkę schodową, ale uchyliwszy je Pete zobaczył, że wychodzą na dwór. Tuż za nimi znajdowała się tylko wąska betonowa półka zabezpieczona balustradą. Jedyne do niej były uchylone właśnie przez niego drzwi. Pete mruknął do siebie z zadowoleniem i wśliznął się z powrotem na korytarz.

Ciężkie drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem sprężyny zamka, zaskakującego na swoje miejsce.

Stwierdziwszy z ulgą, że w przypadku, gdyby Snabel pojawił się tu i chciał się wymknąć, jedyna droga ucieczki z korytarza prowadzi którąś z wind albo przez klatkę schodową, chłopcy weszli do głównej sali. Pan Bradford z Syosset stał teraz przy stole przygotowanym dla mówców i próbował zaprowadzić porządek, ponagając przybyłych, aby zajęli miejsca.

Miłośnicy storczyków kłębili się bezładnie przy ścianach, wzdłuż których na prowizorycznych stołach wystawione były okazy tych pięknych kwiatów. Po kilkakrotnych głośnych wezwaniach zaczęli wreszcie siadać na ustawionych rzędami, małych, połączonych krzesłach. Przygasły przyćmione światła pałace się pod sufitem, a w ich miejsce zajaśniał punktowy reflektor skierowany na mównicę.

Pan Bradford w paru słowach powitał zebranych, a potem szybko przeszedł do głównego punktu spotkania i przedstawił znakomitego gościa, sir Clive'a Stiltona.

- Sir Clive pokaże nam slajdy ze swymi storczykami - powiedział - a następnie omówi znaczenie, jakie dla uzyskania pięknych krzyżówek ma dobór wartościowych roślin rodzicielskich.

- Rany Julek! - jęknął Pete. - To będzie cud, jeżeli nie usnę w czasie tego wykładu!

Siedząca przed nimi kobieta odwróciła się i syknęła, żeby siedział cicho.

Pete zagłębił się w krzesło. Na mównicy ukazał się przeraźliwie chudy człowieczek o różowiutkiej twarzy.

- Otóż to, właśnie... - zaczął, zacierając kościste dłonie.

Przez dłuższą chwilę mówca nie powiedział nic więcej, kłaniał się tylko rozmiłowanemu w storczykach audytorium.

- Pan Bradford - podjął w chwilę potem - powiedział mi kilka minut temu, że z przyjemnością wysłucha dziś wykładu zwolennika krzyżowania metodą kastracji. Poprzednio przemawiał przeciwnik tej metody. Nie jestem zupełnie pewien, czy rzeczywiście zaliczam się do zwolenników kastrowania pręcików kwiatów matecznych.

Pete zaczął się trząść od bezgłośnego śmiechu. Na wszelki wypadek Bob trącił go łokciem pod żebro.

Jupe patrzył prosto przed siebie i ze wszystkich sił starał się zachować poważną minę.

Gdzieś z tyłu skrzypnęły drzwi. Jupe odwrócił się w tamtym kierunku.

- Czy mogę prosić o wyłączenie wszystkich światel? - zwrócił się mówca do pana Bradforda.

Pełniący rolę gospodarza pan Bradford pobiegł chyłkiem, aby spełnić tę prośbę. Przez chwilę w sali panowała absolutna ciemność. Włączono rzutnik przezroczy i na ekranie ukazała się postać

mówcy, znajdującego się w swojej szklarni. Pochylił się nad stołem wyładowanym roślinami.

- Odpowiedzmy teraz na pytanie, w jaki sposób możemy dobrać dla naszych storczyków najlepsze rośliny rodzicielskie. No cóż, jeśli hodujemy je dla kwiatów, to jednym ze sposobów jest ocena kwiatostanu. A czyż nie o to właśnie chodzi większości hodowców?

Jedne z prowadzących na korytarz drzwi otworzyły się. Na tle smugi światła ukazała się jakaś krępa postać. Przez chwilę stała nieruchomo, jakby nowo przybyły starał się przyzwyczaić oczy do panujących wewnątrz ciemności.

Stojący przy mównicy człowiek zaczął się teraz rozwozić nad rodzajami inspektowej ziemi, sadzonkami i roślinami, które są tak odporne wobec hodowlanych zabiegów, i mówił, ile to czasu musi upłynąć, zanim hodowca storczyków naocznie stwierdzi prawdziwe rezultaty swej pracy.

Stojąca w smudze światła postać wsunęła się do sali. Drzwi się zamknęły.

Jupe szturchnął łokciem Pete'a, a potem podniósł się z miejsca i po omacku, chyłkiem pomknął ku tylnej części sali. Pete i Bob poszli jego śladem.

- Zdaje mi się, że ten, co przed chwilą wszedł do środka, to Snabel - szepnął Jupe. - Spróbuję zadzwonić do pana Andersona.

Starając się nie otwierać zbyt szeroko drzwi, Jupe wymknął się na korytarz. Bob i Pete zrobili to samo. Przez chwilę cała trójka stała bez słowa, rozglądając się, czy gdzieś w pobliżu nie ma kabiny telefonicznej.

Gdzieś niedaleko nich otworzyły się jakieś drzwi.

Nie były to jednak duże drzwi łączące salę z korytarzem, ale drugie, wąskie wyjście z sali, położone w głębi, naprzeciwko pomieszczenia gospodarczego.

Czy otworzył je Snabel? Mógł przecież rozpoznać chłopców w chwili, gdy opuszczali salę. Musieli być widoczni na tle światła padającego z korytarza.

Trzej Detektywi usłyszeli kroki w małym korytarzyku po lewej stronie, a potem brzęk uderzających o siebie porcelanowych czy szklanych naczyń. W tej samej chwili dało się słyszeć dudnienie windy, jadącej do góry z któregoś z niższych pięter.

Chłopcy ostrożnie przemknęli w tym kierunku i spojrzeli ku służbowej windzie. Zobaczyli stojącego tyłem do nich mężczyznę w ciemnym ubraniu, który trzymał w rękach tacę wyładowaną filiżankami.

Kelner! Mieli przed oczyma kelnera odnoszącego do kuchni tacę pełną brudnych filiżanek.

- Ej, popatrzcie, on ma na nogach nowe adidas! - krzyknął nagle Bob.

Kelner drgnął, a potem odwrócił lekko głowę. Chłopcy zobaczyli profil jego twarzy.

- Panie Snabel, czy mógłby pan nie ruszać się przez chwilę? - powiedział Bob. - Chciałbym zrobić panu pamiątkowe zdjęcie.

Bob miał oczywiście ze sobą swój aparat. Noszenie go stało się niemal jego drugą naturą. Teraz podniósł go do oczu. Błysnął flesz i dał się słyszeć cichy trzask zwolnionej migawki.

Snabel z krzykiem skoczył w kierunku Boba. Taca z filiżankami roztrzaskała się o podłogę.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi od służbowej windy. Jupe i Pete prześliznęli się koło Snabela i wskoczyli do środka. Jupe nacisnął przycisk bezpieczeństwa, unieruchamiający windę w jej obecnym położeniu, a Pete sięgnął do czerwonego guzika włączającego alarm. Rozległ się głośny dźwięk dzwonka, dzwoniącego bezustannie również po zwolnieniu nacisku.

- Policja! - wrzasnął Bob, stojący dokładnie naprzeciwko wejścia do sali. - Na pomoc! Morderca!

Drzwi do sali otworzyły się w chwili, gdy Snabel dopadał już Boba, gotów chwycić go za gardło.

Bob pstryknął jeszcze jedno zdjęcie.

Na korytarz wyskoczył pan Bradford z wykrzywioną gniewem twarzą.

- Co to za hałasy? - krzyknął wściekle.

Snabel zatrzymał się z zakłopotaną miną. Był na wpół oślepiiony błyskiem flesza.

- Gliny! - wrzeszczał Bob. - Policja! Wezwijcie policję!

Jeszcze raz błysnął flesz aparatu, wymierzony tym razem dokładnie w twarz Snabela.

Snabel odskoczył do tyłu. Przez chwilę trzymał dłonie na oczach, a potem rzucił się z powrotem ku windzie.

Jupe i Pete czekali w jej wnętrzu. Rozgniatając pokrywające dywan skorupy filiżanek, Snabel podbiegł do wejścia i zatrzymał się w nim. Kątem oka dostrzegł drzwi widoczne w samym końcu korytarza. Zobaczył je mimo tańczących mu przed oczami białych plamek i musiały mu się wydać jedyną drogą ratunku. Skoczył ku nim z wyciągniętymi rękami.

- Niech pan uważa! - krzyknął Pete, ale było już za późno. Snabel otworzył je jednym szarpnięciem i dał susa w ciemność.

Drzwi zamknęły się za nim z kliknięciem zamka wskakującego na swoje miejsce.

Z sali balowej zaczęli wychodzić ludzie, przestraszeni albo po prostu zaintrygowani dziwnymi odgłosami. Korytarz zaludnił się tłumem rozglądających się po nim wielbicieli storczyków.

Dzwonek alarmowy w windzie urwał się nagle.

Przez chwilę na korytarzu panowała ogłuszająca cisza, którą rozdarł krzyk wyraźnie słyszalny przez wszystkich. Dochodził od strony drzwi na końcu korytarza.

- Ratunku! - krzyczał Snabel, tłukąc jednocześnie pięściami w drzwi. - Wpuście mnie do środka! Otwórzcie te drzwi! Ratunku!

Jupe spokojnie odwrócił się do Bradforda.

- Proszę pana, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się tu najbliższy publiczny telefon? - zapytał. - Muszę zadzwonić do... do FBI.

Rozdział 19

Pan Hitchcock zaprasza na lunch

Restauracja odznaczała się niewiarygodną elegancją. Na stołach bieleły się lniane obrusy, a okna zasłonięte były brokatowymi storami. Wszędzie stały świeże kwiaty. Dywany były tak miękkie, że głuzyły odgłosy najbardziej nawet energicznych kroków. Zamiast drukowanego menu, przy stoliku zjawił się szef kelnerów, który półgłosem podpowiadał chłopcom, co powinni zjeść na lunch. Zamówione dania podawał kelner w niebieskim fraku i kamizelce w prążki. A samo jedzenie - porcja krewetek - przyrządzone było z takim mistrzostwem, że nie przypominało w smaku żadnych krewetek, jakie Trzej Detektywi jedli kiedykolwiek przedtem. Tyle że aby dobrze się przyjrzeć stojącym przed nimi porcjom, trzeba by było prosić o podanie szkła powiększającego.

Fundator lunchu, przyjaciel chłopców i ich krajan z Kalifornii, Alfred Hitchcock, rozejrzał się po restauracji i uśmiechnął się smutno.

- Kiedyś nie mogłem sobie pozwolić na przychodzenie tutaj na lunch - powiedział. - Teraz, kiedy odniosłem sukces jako reżyser i autor książek o różnych tajemniczych historiach, mogę jeść, gdzie tylko mi się podoba. Ale co, u licha, podkusiło mnie dziś, żeby wdepnąć tu razem z wami? Zdaje się, że zaraz po południu będę musiał rozejrzeć się za jakimś barem, żeby coś przekąsić.

Powiedziawszy to, pan Hitchcock pociągnął łyk wody mineralnej i uśmiechnął się.

- Ale mimo wszystko, dobrze jest mieć forszę, nie wierzcie tym, którzy mówiące innego.

A jak to naprawdę było z tą waszą ostatnią sprawą? - zapytał po chwili. - Wiesz, Jupe, kiedy nazwisko Snabela pojawiło się w gazetach, zadzwoniłem do twojej cioci Matyldy. Była całkiem zdezorientowana. Powiedziała mi, że zgodnie z tym, co jej wiadomo, pojechałeś na wakacyjną wycieczkę z dziadkiem Pete'a. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego tropiłeś jakichś szpiegów...

No i co właściwie robiłeś na zebraniu tego storczykowego towarzystwa.

Pete uśmiechnął się, szczerząc zęby.

- Nadal jesteśmy na wakacjach - powiedział. - Ale jednocześnie zajmujemy się pewną sprawą, na zlecenie mojej mamy.

Pete opowiedział teraz panu Hitchcockowi, jak to pani Crenshaw zleciła im opiekę nad panem Peckiem, żeby nie popadł w jakieś kłopoty.

- No i wywiązaliśmy się z tego. To znaczy... tak w przybliżeniu - wyjaśnił. - A przy okazji zrobiliśmy trochę innej bombowej roboty...

- Coś o tym słyszałem - stwierdził pan Hitchcock. - Cieszę się, że znalazłem się w Nowym Jorku w tym samym momencie, co i wy. Przyjechałem, żeby oddać moją nową książkę wydawcy, Batemanowi. Właśnie on drukował do spółki z Wattsem moją ostatnią książkę, która nosiła tytuł "Dreszcz grozy". Mój agent twierdzi, że obaj wychodzili z siebie, żeby tylko dostać w swoje ręce tę nową. Z tytułowałem ją... "Śmiertelna cisza".

- Taki tytuł? - zapytał Jupiter. - "Śmiertelna cisza"? Brzmi obiecująco. O czym to jest?

- Prześlę ci egzemplarz, jak tylko wyjdzie z drukarni - obiecał pan Hitchcock. - A teraz wolałbym dowiedzieć się czegoś o waszej ostatniej sprawie. Macie zamiar opisać ją, tak jak zwykle?

- Opracowuję na razie moje notatki - powiedział Bob. - Ucieszyliśmy się, że zadzwonił pan dziś rano do hotelu. Chcieliśmy mieć pewność, że napisze pan i tym razem krótki wstęp.

- Z największą ochotą - stwierdził pan Hitchcock. - Ale musicie podać mi parę szczegółów.

Chłopcy nie dali się prosić dwa razy i opowiedzieli wszystko, poczynając od pierwszego spotkania ze Snabelem w Pismo Beach, a kończąc na triumfalnym przedstawieniu wydarzeń w hotelu "Statler Royal".

- Fenomenalna historia! - powiedział pan Hitchcock. - Jak prawdziwi zawodowcy wychyciliście to, że kelner w eleganckim hotelu nie miałby na nogach jakichś przypadkowych adidasów. Ale jedna rzecz mnie zaskoczyła. Jak to się stało, że zaglądając pod samochód w Santa Rosa, nie zauważyliście tego nadajnika przymocowanego do zbiornika paliwa? Można by pomyśleć, że powinniście z miejsca wyłapać coś takiego.

- Zdaje się, że ja to sfuszerowałem - powiedział Jupe. - Był środek nocy i mieliśmy w latarce prawie wyladowane baterie. A potem, w całym tym podnieceniu, jakie nas opanowało, zapomniałem to sprawdzić jeszcze raz. Ale wtedy nie traktowaliśmy jeszcze z należytą powagą twierdzeń pana Pecka, że Snabel to myszkujący szpicel. Dopiero potem okazało się, że był nim rzeczywiście.

Niestety, nigdy nie poznamy całej prawdy o jego szpiegowskiej działalności. Informacje, które przekazywał, miały tajny charakter, toteż od FBI dowiedzieliśmy się bardzo niewiele. Pan Anderson

powiedział nam tylko, że Snabel cieszył się zaufaniem służb bezpieczeństwa w swoim zakładzie. Pracował jako inżynier elektronik w fabryce wytwarzającej sprzęt lotniczy. Został zwolniony, ponieważ nie umiał ułożyć sobie współpracy z kolegami z działu technicznego. Być może wciągnęło go szpiegostwo dlatego, że czuł się pokrzywdzony niesprawiedliwym potraktowaniem go w fabryce. Porobił te zdjęcia przed rozstaniem się ze swoją posadą i przeschmugłował aparat na zewnątrz.

Ponieważ nie miał wyposażenia do wywoływania zdjęć, a nie chciał też ryzykować oddawania filmu do laboratorium fotograficznego, zdecydował się w końcu na przekazanie go Bartlettowi razem z aparatem. Aparaty zostały jednak zamienione. W dodatku pan Peck bez przerwy plótł o jego skłonnościach do myszkowania i szpiclowania. Nic dziwnego, że Snabel, mający rzeczywiście nieczyste sumienie, podejrzewał pana Pecka o to, że wie o nim więcej, niż ten wiedział naprawdę.

- Fantastyczne! Jestem tym zachwycony! - wykrzyknął pan Hitchcock. - Ten Snabel po prostu sam laźł do ciupy!

Pete z zadowoleniem kiwnął głową.

- Dziadek trochę mu w tym pomógł. Snabel zachowywał się tym bardziej rozpaczliwie, im większy dystans udawało się nam pokonać. Koniecznie chciał odebrać ten film Bobowi, zanim Bob zorientuje się w jego zawartości i odda go odpowiednim władzom. Lincoln, którym nas ścigał, należał do Bartletta, a może został tylko wynajęty przez Bartletta na krótki wypad do Monterey, gdzie był umówiony ze Snabelem.

- A co się stało z tym tak zwanym Bartlettem? - zapytał pan Hitchcock.

Na twarzach Trzech Detektywów pojawił się wyraz rozczarowania. Miny całkiem im zrzedły.

- Zdaje się, że udało mu się zwiać - przyznał Jupe. - Pan Anderson powiedział nam, że widziano go w Wiedniu w dzień po aresztowaniu Snabela. Bez szwanku przemknął przez sieć zastawioną przez FBI.

- Nic w tym dziwnego - zauważył pan Hitchcock. - Nie ulega wątpliwości, że to doświadczony szpieg, kuty na cztery nogi.

- Jak by nie było - wtrącił Pete - sprawy nie stoją tak źle, jak mogłoby się wydawać. Myślę o tym, że facet chce na pewno przekazać komuś ten spreparowany film, no i będzie miał się z pyszna, kiedy się okaże, że film jest zwykłą podróbką! Tak więc udało się nam zrobić trochę tyłów także jemu.

Pan Hitchcock pokiwał z uznaniem głową.

- A co słyhać u twego dziadka, Pete? Udało mu się spieniężyć ten wynalazek?

Pete rozpromienił się.

- Tak. Tym razem naprawdę mu się udało. To znaczy, może nie pod względem finansowym, ale jego pomysł się sprawdził i okazał się praktyczny. Nie udało się nam znaleźć tego wynalazku w samochodzie, ponieważ go tam nie było. Dziadek wysłał wszystko pocztą do hotelu "Riverview

Plaza”, w którym zatrzymaliśmy się po przyjeździe tutaj, z prośbą o przechowanie przesyłki do chwili naszego przybycia. Przez cały czas plany znajdowały się w hotelowym sejfie. Dlatego właśnie myśl o tym, że Snabel chce je wykraść, nie tyle go niepokoiła, ile wprawiała po prostu we wściekłość.

- Ale co to właściwie za wynalazek? - spytał pan Hitchcock. - Dlaczego dziadek trzymał go w takiej tajemnicy?

- Ponieważ w pewnym sensie jest to tajemnica wojskowa - wyjaśnił Pete. - No, może nie całkiem wojskowa, ale mająca znaczenie dla programu wypraw kosmicznych. Chodzi o nowy rodzaj zaworu, który dziadek wymyślił w czasie opracowywania przeciwpożarowego systemu wodnego dla kościelnej sali zebrań. Zawór ma wbudowany automatyczny czujnik, a przy tym jest mniejszy i bardziej skuteczny od tych stosowanych dotychczas. Można go wykorzystać do regulacji temperatury i ciśnienia w kosmicznych kombinezonach, które dzięki temu nie muszą być takie grube i nieporęczne. Można zmniejszyć w nich warstwę izolacyjną. Dzięki temu astronauta mogą mieć więcej swobody ruchów, kiedy wychodzą na zewnątrz statku.

- Więc on rzeczywiście miał z czym jechać przez całą Amerykę! - wykrzyknął pan Hitchcock.

- Tak, miał. W tej chwili dziadek bez przerwy biega na jakieś spotkania w firmie, która jest jednym z głównych dostawców sprzętu dla NASA. Wynajął prawnika, który pomaga mu opracować kontrakty. Ostatnio stał się właściwie kimś w rodzaju domokrażcy, który nic nie robi, mimo że jest bardzo zajęty. Ale choć czasami można dostać szału z powodu jego humorów, przestawanie z nim bywa całkiem zabawne.

- W każdym razie nie można mu odmówić animuszu - powiedział pan Hitchcock. - Coś mi się zdaje, że w czasie tej wycieczki i ty, i twój dziadek, zdołaliście się naprawdę poznać nawzajem.

Pete potwierdził to przypuszczenie uśmiechem.

- A teraz, chłopaki - powiedział pan Hitchcock - jeżeli pan Peck nie zaplanował czegoś dla was na dzisiejsze popołudnie, mam tu coś, co mogłoby was zainteresować: bilety na przedstawienie “Śmiertelnej pułapki” na Broadwayu! Sztuka pełna jest tajemniczych zagadek i intryg.

- Brzmi to zachęcająco - stwierdził Jupiter.

Pete i Bob kiwnęli potakująco głowami, spoglądając na pana Hitchcocka z błyskiem podniecenia w oczach.

- Jest to popołudniówka - oznajmił pan Hitchcock - więc jeżeli nie chcemy się spóźnić, musimy się ruszać.

- Został tylko jeden mały detal, proszę pana - powiedział Jupiter.

- Słucham cię, Jupciu - uśmiechnął się słynny reżyser i pisarz. - Wal śmiało.

- Nie moglibyśmy zaczepić po drodze o jakiś bar, żeby coś przekąsić?

